

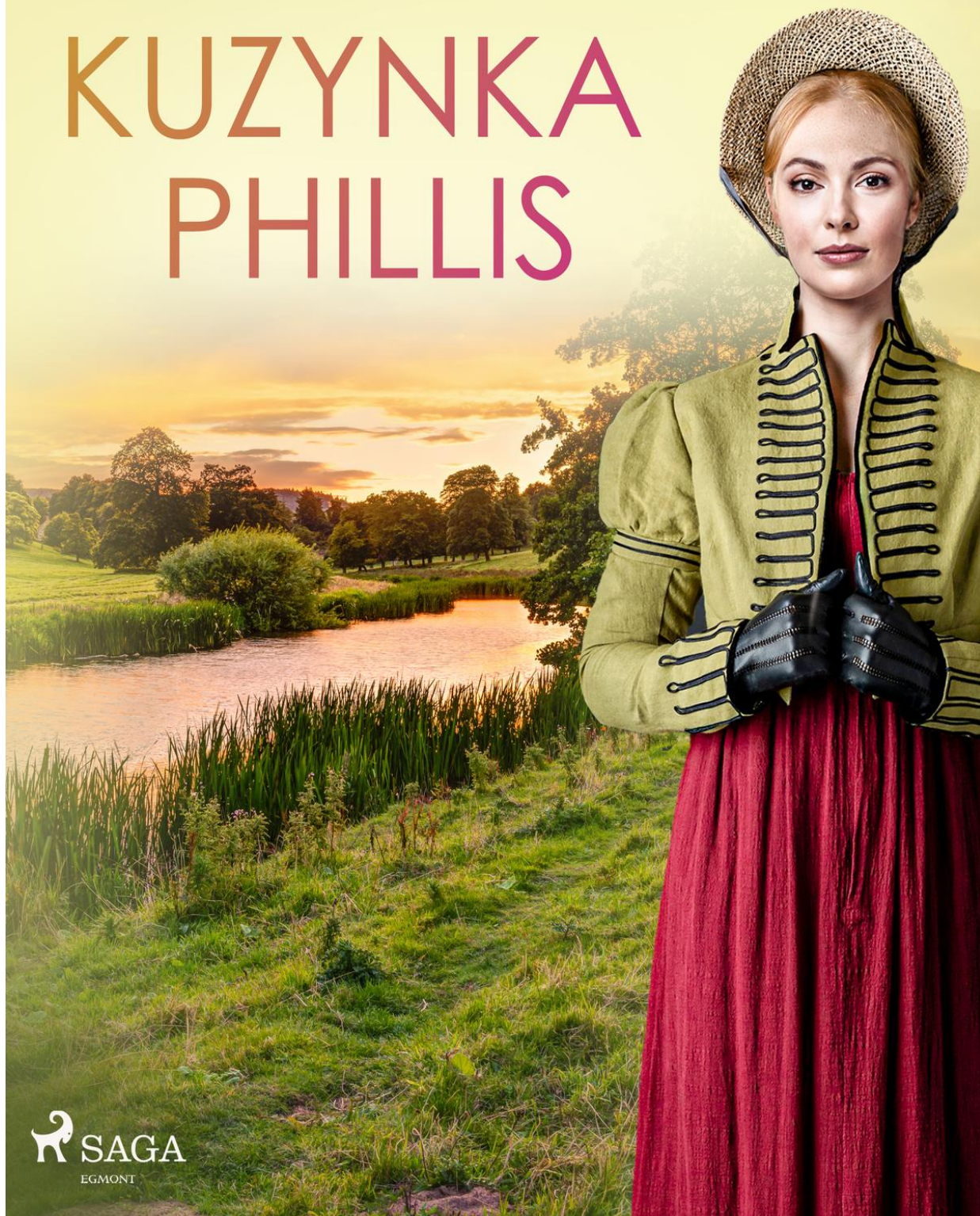
Elizabeth Gaskell

KUZYNKA
PHILLIS



Elizabeth Gaskell

KUZYNKKA
PHILLIS



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Elizabeth Gaskell

Kuzynka Phillis

Przekład:

AGNIESZKA KLONOWSKA

Saga

Kuzynka Phillis

Tłumaczenie Agnieszka Klonowska

Tytuł oryginału *Cousin Phillis*

Język oryginału angielski

Wybór i układ: Paweł Marszałek
Copyright © 1864, 2023 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728533918

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora. Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Część I

Wielkie to przeżycie dla młodego mężczyzny, kiedy przyjdzie mu pierwszy raz zamieszkać samemu. Chyba nigdy w życiu nie byłem tak usatysfakcjonowany i dumny, jak wówczas, gdy w wieku siedemnastu lat zasiadłem w maleńkim, trójkątnym pokoiku nad cukiernią w stołecznym okręgu Eltham. Tego popołudnia ojciec zostawił mnie samego, wygłosiwszy uprzednio kilka podstawowych nakazów, wyartykułowanych z naciskiem w celu pokierowania mnie ku nowej drodze życia, na którą właśnie wkraczałem. Miałem pracować w biurze u pewnego inżyniera, który przedsięwziął budowę lokalnej linii kolejowej z Eltham do Hornby. Ojciec załatwił mi tę posadę, poniekąd wyższą od tej, którą sam piastował, czy też powinienem raczej rzec, wykraczającą ponad stan, w którym się urodził i wychował; z roku na rok bowiem zyskiwał sobie wśród ludzi coraz większe uznanie i szacunek. Z zawodu był mechanikiem, lecz posiadał talent twórczy oraz wielkie samozaparcie i wprowadził kilka ważnych udoskonaleń w produkcji maszyn kolejowych. Nie zrobił tego dla zysku, choć logicznie rzecz biorąc, to, co stanowi naturalny porządek rzeczy, należy uznać za dopuszczalne; on zaś pielęgnował te pomysły, ponieważ, jak sam twierdził, „dręczyły go dniami i nocami, póki ich nie przekuł w czyn”. Ale dość już o moim kochanym ojcu, choć wielka to korzyść dla kraju, gdzie żyło wielu takich jak on. Był człowiekiem głęboko niezależnym z pochodzenia i przekonania, i właśnie to, jak mniemam, skłoniło go do wystarania się dla mnie o lokum nad cukiernią. Obsługiwały ją dwie siostry naszego znajomego pastora, co miało stanowić swego rodzaju ochronę mojej moralności, gdy otoczony pokusami, jakie niesie za sobą życie w wielkim mieście, podjąłem pracę, zarabiając trzydzieści funtów na rok.

Ojciec poświęcił dwa cenne dni i założył odświętne ubranie, by przywieźć mnie do Eltham, towarzyszyć mi podczas pierwszej wizyty

w biurze, przedstawić mnie mojemu szefowi (który miał względem mego ojca zobowiązania, gdyż ten udzielił mu pewnej wskazówki), a następnie zabrać mnie na spotkanie z niezależnym kaznodzieją małej parafii w Eltham. Następnie wyjechał, a ja, choć przykro mi było się z nim rozstawać, zacząłem z lubością rozsmakowywać się w rozkoszach bycia panem samemu sobie. Rozpakowałem kosz, który przygotowała mi matka, powąchałem słoiki z przetworami z uciechą należną ich posiadaczowi, któremu wolno dobrać się do ich zawartości, kiedy mu się żywnie podoba. Wziąłem do ręki i obejrzałem domową wędzoną szynkę, która zdawała się obiecywać niezliczone kulinarne uniesienia, a w szczególności najbardziej słodko smakowała świadomość, że mogę zabrać się za te frykasy, kiedy tylko zechcę, z własnej woli, niezależnie od niczyjego, jakkolwiek pobłażliwego przyzwolenia. Schowałem swoje wiktuały w narożnej szafce — pokoik miał trzy kąty, a w każdym z nich coś się mieściło: w jednym kominek, w drugim okno, w trzecim szafka; tylko ja tkwiłem pośrodku, gdyż nie było tam dla mnie za wiele miejsca. Pod oknem stał stół z rozkładanym blatem, okno zaś wychodziło na rynek; tak więc starania, jakie powziął mój ojciec, by dopłacić do wynajmu tego pokoiku, wiązały się ze sporym ryzykiem odwrócenia mojej uwagi od książek i skierowania jej na ludzi. Posiłki miałem jadać razem z dwiema starszymi paniami Dawson na parterze, w saloniku na zapleczu cukierni, i tylko śniadania i obiady, bo przy poniekąd niestałych godzinach popołudniowej pracy podwieczorek czy kolację musiałbym spożywać sam.

Potem, po dumie i satysfakcji, przyszło uczucie samotności. Nigdy przedtem nie mieszkałem z dala od domu, a do tego byłem jedynakiem; i choć mój ojciec często powtarzał maksymę: „oszczędzaj różgi, a zepsujesz dziecko”, to podświadomie miał dla mnie miękkie serce i odnosił się do mnie z dużo większą czułością, niż miał to w zwyczaju czy też skłonny był u siebie aprobować. Moja matka, która nigdy nie opowiadała się za surowością, była bardziej nieugięta niż mój ojciec: najwyraźniej me chłopięce występki działały jej na nerwy; pisząc powyższe słowa, pamiętam nawet, jak raz, gdy byłem już dojrzałszy wiekiem, wstawiła się za mną, kiedy srogo naraziłem się ojcu.

Ale teraz to bez znaczenia. Zamierzam bowiem pisać o kuzynce Phillis, a póki co, nie doszedłem nawet do momentu, w którym należałoby ją przedstawić.

Odkąd zamieszkałem w Eltham, przez parę miesięcy wszystkie moje myśli skupiały się na podjętej przeze mnie pracy — nowym przejawie mej samodzielności. O ósmej rano siadałem za biurkiem, na pierwszą chadzałem do kwatery na obiad i wracałem na drugą. Popołudniami obowiązki się zmieniały częściej niż w godzinach rannych; bywało, że robiłem to samo, a niekiedy musiałem towarzyszyć panu Holdsworthowi, naczelnemu inżynierowi, w wyjazdach do różnych miejscowości położonych przy linii kolejowej między Eltham a Hornby. Zawsze mi się to podobało ze względu na urozmaicenie, otaczający nas krajobraz (niezmiernie dziki i urokliwy) oraz towarzystwo pana Holdswortha, który w moim chłopięcym mniemaniu urastał do rangi bohatera. Był to młody człowiek w wieku około dwudziestu pięciu lat, przewyższający mnie swoim statusem, zarówno z pochodzenia, jak i z wykształcenia; miał za sobą podróże po kontynencie, a do tego nosił bujne wąsiska i bokobrody w poniekąd cudzoziemskim stylu. Byłem dumny, że mnie z nim widywano. Pod wieloma względami był z niego naprawdę wspaniały człowiek, a poza tym mogłem przecież trafić w dużo gorsze ręce.

Co sobotę pisywałem do domu, by zdać relację z moich całotygodniowych poczynań — tak jak nalegał ojciec; jednakże w moim życiu działo się tak niewiele, że często z trudem zdołałem zapisać całą stronę. W niedzielę dwukrotnie odwiedzałem kaplicę, stojąc w ciemnym, wąskim przedsionku, słuchałem monotonnych hymnów, długich modlitw i jeszcze dłuższych homilii wygłaszanych małej grupce wiernych, której byłem niewątpliwie najmłodszym członkiem. Raz na jakiś czas pastor Peters zapraszał mnie po drugim nabożeństwie do siebie na herbatę. Ów zaszczyt napawał mnie przerażeniem, gdyż zwykle cały wieczór przesiadywałem na krawędzi krzesła, odpowiadając na zadawane mi głębokim barytonem poważne pytania aż do czasu, kiedy o ósmej wieczorem nastąpił czas rodzinnej modlitwy. Wtedy do pokoju, wyglądając fartuch, wchodziła pani Peters, a za nią służąca; wszyscy troje musieliśmy

najpierw wysłuchać kazania, potem rozdziału wyczytanego z Biblii, aż wreszcie następowała długa, improwizowana modlitwa, dopóki jakiś instynkt nie podpowiadał pastelowi Petersowi, że nadeszła pora kolacji. Wtedy dźwigaliśmy się z kolan z dominującym w nas uczuciem głodu. Podczas kolacji pastor sypał niezręcznymi dowcipami, jakby na dowód, że kaznodzieje to także ludzie. A o dziesiątej wracałem na kwaterę do trójkątnego pokoiku, gdzie przed pójściem do łóżka uwalniałem długo tłumione ziewnięcia. Panie Dinah i Hannah Dawson — takie imiona widniały na szyldzie nad cukiernią, lecz ja zawsze zwracałem się do każdej z nich per panno Dawson — uważały moje wizyty u pastora Petersa za największy zaszczyt, jaki mógł spotkać młodego człowieka, niewątpliwie przekonane, iż jeśli mimo takich przywilejów nie zdołam zapracować sobie na zbawienie, to zasługuję na miano współczesnego Judasza Iskarioty. Kręciły natomiast głowami na moje stosunki z panem Holdsworthem, który z wielu względów był dla mnie tak miły, że rozpakowując szynkę z domu, zastanawiałem się, czy nie zaprosić go do siebie na podwieczorek, zwłaszcza że na miejscowym rynku odbywał się właśnie coroczny festyn, a widok straganów, karuzeli, dzikich zwierząt i innych podobnych atrakcji był (w przeświadczeniu siedemnastolatka) wyjątkowo interesujący. Lecz gdy odważyłem się wyrazić swój zamiar, rzucając zaledwie luźną aluzję, panna Hannah, zbliżywszy się do mnie, stwierdziła, że to grzeszne zapędy. Wspomniała coś o tarzaniu się w błocie, a potem nagle zaczęła mówić o Francji, że to kraj nikczemny, podobnie jak każdy człowiek, który go odwiedził. Wreszcie, widząc, że jej złość skupia się tylko na jednej osobie, czyli na panu Holdsworcie, uznałem, że lepiej wstać od stołu i możliwie najszybciej znaleźć się poza zasięgiem jej głosu. Później usłyszałem zdumiony, jak panny Dawson podliczają z zadowoleniem tygodniowy utarg, utrzymując, że prowadzenie cukierni przy rynku podczas festynu to całkiem niezła rzecz. Mimo wszystko jednak nie ośmieliłem się zaprosić pana Holdswortha do siebie na górę.

Podczas pierwszego roku mojego pobytu w Eltham nie zdarzyło się nic takiego, o czym warto by opowiedzieć. Dopiero w wieku niespełna dziesiętnastu lat, kiedy zacząłem myśleć o zapuszczeniu wąsów, poznałem kuzynkę Phillis, o której istnieniu dotąd nie miałem pojęcia. Spędziliśmy

z panem Holdsworthem cały dzień w Heathbridge, harując ciężko. Heathbridge leży w pobliżu Hornby, gdzie przeszło połowa naszej linii kolejowej była już gotowa. Rzecz jasna, całodniowa wycieczka stanowiła doskonały temat mojego cotygodniowego listu do domu; zabrałem się więc do opisywania krajobrazów — co zdarzało mi się raczej nieczęsto. Opowiedziałem ojcu o mokradłach, o połaciach dzikiego mirtu i miękkiego mchu, o ruchomym gruncie, na którym trzeba było kłaść szyny, o tym, jak w południe jeździliśmy z panem Holdsworthem — bo musieliśmy zostać tam na całe dwa dni z noclegiem — na posiłki do uroczego pobliskiego miasteczka Heathbridge, a ja liczyłem na to, że będziemy bywać tam częściej, gdyż niepewny, ruchomy grunt nie dawał spokoju naszym inżynierom — kiedy jedna część torów się zapadała, druga wznosiła się ku górze. (Jak się można domyślić, nie obchodziły mnie wówczas interesy akcjonariuszy — przed ukończeniem węzła kolejowego musieliśmy znaleźć twardszy grunt na położenie torów). Tak bardzo się rozpisalem, że ku swemu zadowoleniu udało mi się zapełnić całą kartkę papieru. A otrzymawszy odpowiedź dowiedziałem się, że daleka kuzynka mojej matki wyszła za niezależnego kaznodzieję z Hornby nazwiskiem Ebenezer Holman, i według mojej matki mieszkała właśnie w opisywanym przeze mnie miasteczku Heathbridge. Moja matka nigdy nie widziała kuzynki Green, która jako jedynaczka miała (jak twierdził ojciec) odziedziczyć cały spadek. Stary Thomas Green był właścicielem prawie pięćdziesięciu akrów ziemi, którą niewątpliwie zapisał córce. Moje wspomnienie o Heathbridge gwałtownie ożywiło w mej matce poczucie więzi rodzinnych; ojciec pisał, że matka bardzo prosi, abym przy kolejnej wizycie w tamtych stronach wypytał o pastora Ebenezera Holmana; jeśli zaś istotnie taki tam mieszkał, to miałem się dowiedzieć, czy nie pojął za żonę niejakiej Phillis Green, a jeśli na obydwa pytania uzyskałbym odpowiedź twierdzącą, kazano mi pójść i przedstawić się jako jedyny syn Margaret Manning, z domu Moneypenny. Zmiarkowawszy, w co się wpakowałem, byłem na siebie wściekły, że w ogóle wspomniałem w liście o Heathbridge. Jeden niezależny kaznodzieja w zupełności wystarczy, powiedziałem sobie, mając tu na myśli naszego znajomego pastora z rodzinnych stron, pana Dawsona (który katechizował mnie co niedzielę);

a musiałem też być uprzejmy względem starego Petersa w Eltham i zachowywać się nienagannie przez kilka godzin z rzędu, goszcząc u niego w domu na herbacie. Ledwo poczułem w Heathbridge powiew wolności, a już wysłano mnie na poszukiwanie kolejnego kaznodziei, żebym wysłuchiwał jeszcze jego kazań lub też dał się zaprosić na herbatę. Ponadto nie miałem ochoty narzucać się obcym, którzy zapewne nigdy nie słyszeli o mojej matce, którym jej dziwaczne panieńskie nazwisko — Moneypenny — nie było znane, a gdyby nawet było, to pewnie nie mieli najmniejszej ochoty utrzymywać z nią kontaktów, podobnie zresztą jak ona z nimi do czasu mojej niefortunnej wzmianki o Heathbridge. Nie śmiałybym jednak sprzeciwić się woli rodziców nawet w sprawie tak błahej, choćby nie wiem jak działała mi na nerwy. Tak więc podczas kolejnej wizyty służbowej w Heathbridge, kiedy jedliśmy obiad w małej, tynkowanej gospodzie, korzystając z okazji, że pan Holdsworth na chwilę odszedł od stolika, zwróciłem się z zapytaniem do kelnerki o zarumienionych policzkach. Albo wyraziłem się niejasno, albo kelnerka była zwyczajnie głupia, bo odparła, że nie wie, ale zapyta swojego pana. Rzecz jasna, kiedy zjawił się właściciel, gotów udzielić odpowiedzi na moje pytania, z trudem wyjąkałem je w obecności pana Holdswortha, który pewnie wcale nie zwracałby na mnie uwagi, gdybym się przy tym nie zarumienił i nie speszył, wychodząc na kompletnego głupca.

— Owszem — odparł właściciel gospody. — Farma Hope leży w samym Heathbridge i jest w posiadaniu niejakiego Holmana, niegdyś niezależnego kaznodziei. — Z tego, co wiedział, jego żona rzeczywiście ma na imię Phillis, a z domu nazywała się Green.

— Czy to twoi krewni? — zapytał mnie wtedy pan Holdsworth.

— Nie, proszę pana... To dalekie kuzynostwo mojej matki. No, właściwie tak, krewni, ale nigdy w życiu ich nie widziałem.

— To o rzut kamieniem stąd — dodał skory do pomocy właściciel gospody, podchodząc do okna. — Wystarczy wznieść wzrok ponad rabaty z malwami i ponad czubki rosnących w sadzie śliw, aby dostrzec dziwaczne kształty kamiennych kominów. To właśnie farma Hope; ma już swoje lata, ale Holman dba o porządek.

Pan Holdsworth zerwał się z krzesła jeszcze szybciej niż ja, stanął przy oknie i wyjrzał na zewnątrz. Słyszając słowa właściciela gospody, odwrócił głowę i uśmiechnął się.

— Nieczęsto się zdarza, aby pastor potrafił zadbać o porządek na swojej ziemi, czyż nie?

— Pan wybaczy, że pozwolę sobie wyrazić swoje zdanie. Pan Holman — bo w naszych stronach, szanowny panie, pastor oznacza duchownego kościoła powszechnego, a ten byłby troszkę zazdrosny, słyszając, iż jakiegoś dysydenta określa się mianem pastora — no więc pan Holman, podobnie jak wszyscy farmerzy z okolicy, sam dobrze wie, kim jest. Przez pięć dni w tygodniu oddaje się pracy, a dwa dni poświęca Bogu, lecz trudno powiedzieć, w którą z tych czynności angażuje się bardziej. W soboty i niedziele pisze kazania i odwiedza swoich wiernych w Hornby, a w poniedziałek od piątej rano orze pługiem pole, jakby nie umiał czytać ani pisać. No, ale obiad wam stygnie, panowie.

Wróciliśmy więc do stołu. Po chwili pan Holdsworth przerwał milczenie:

— Na twoim miejscu, Manning, odszukałbym tych krewnych. Skoro i tak czekamy na wycenę od Dobsona, możesz tam pójść i zobaczyć, co to za jedni, a ja w międzyczasie zapalę sobie cygaro w ogrodzie.

— Dziękuję panu, ale ja ich nawet nie znam i chyba nie mam ochoty ich poznać.

— To po co o nich wypytyujesz? — zdziwił się, naraz podnosząc na mnie wzrok.

Bynajmniej nie miałem zamiaru podejmować bezcelowych działań ani rzucać słów na wiatr. Nie odpowiedziałem, a on mówił dalej:

— Zdecydujże się, idź i poznaj tego farmera-kaznodzieję, a jak wrócisz, wszystko mi opowiesz. Chętnie posłucham.

Tak bardzo przywykłem do wypełniania jego poleceń i ulegania jego wpływom, że do głowy mi nie przyszło się sprzeciwić. Poszedłem więc spełnić tę powinność, choć sięgając pamięcią, czułem wtedy, iż wolałbym zostać skrócony o głowę. Właściciel gospody, wyraźnie zaintrygowany tematem naszej rozmowy jak na mieszkańca małego miasteczka przystało, odprowadził mnie do drzwi, kilkakrotnie wskazując

mi drogę jakby w obawie, że zgubię się po pokonaniu zaledwie dwustu metrów. Mimo to słuchałem go, grając na zwłokę, by zebrać się na odwagę, nim stanę w obliczu obcych ludzi, żeby się im przedstawić. Pamiętam, jak szedłem dróżką, omijając wysokie przydrożne chwasty, i za zakrętem czy dwoma znalazłem się tuż przed farmą Hope. Między domem a porośniętą trawą cienistą ścieżką był ogród; później dowiedziałem się, że nazywają go dziedzińcem, zapewne dlatego, że był otoczony niskim murkiem z biegnącym wzdłuż jego szczytu żelaznym ogrodzeniem, zdobionym wielką, dwuskrzydłową bramą z dwiema kolumnami, z których każda zwieńczona była kamienną kulą. Stanowiło to główne wejście na kamienną ścieżkę prowadzącą do frontowych drzwi; jak się okazało, brama była zaryglowana, za to drzwi frontowe stały otworem. Musiałem przejść dookoła ledwo wydeptaną w obszernej połaci trawy boczną ścieżką, która biegła obok murku dziedzińca, przy pokrytej trawiastym dachem siodłami i poźółkłej małej, dzikiej dymnicy aż do innych drzwi — do „wikarówki”, jak nazywał to miejsce pan domu, z kolei drzwi frontowe, „zdobione i na pokaz”, określane były mianem „zakrystii”. Zapukałem właśnie do nich; otworzyła je wysoka dziewczyna, przypuszczalnie w moim wieku, i stanęła w nich bez słowa, czekając, aż zdradzę powód mojej wizyty. Widzę ją po dziś dzień — moją kuzynkę Phillis. Zachodzące słońce oświetlało ją całą, wdzierając się ukośnym snopem do wnętrza domu. Miała na sobie jakąś granatową, bawełnianą suknię, zapiętą aż po szyję, z rękawami zakrywającymi nadgarstki, ozdobioną drobnymi falbankami zachodzącymi na jej białą skórę. Cóż to była za biel! Nigdy takiej nie widziałem. Włosy miała jasne, koloru bliskiego żółci. Patrzyła mi prosto w twarz wielkimi, spokojnymi oczami, zdziwiona, lecz niewzruszona widokiem obcego. Wydało mi się to dziwne, że starsza, już całkiem dorosła dziewczyna nosi jeszcze dziecięcy fartuszek.

Zanim powziąłem decyzję, jak odpowiedzieć na jej pytające milczenie, kobiecy głos zawołał: — Kto to, Phillis? Jeśli przyszedł po maślankę, odeślij go do sąsiadów.

Uznając, że powinienem raczej porozmawiać z tamtą kobietą, a nie ze stojącą przede mną dziewczyną, wyminąłem ją i z kapeluszem w dłoni przystanąłem w drzwiach pomieszczenia, gdyż za otwartymi

bocznymi drzwiami znajdował się przedpokój lub też jakiś pokój dzienny. W świetle podłużnego skrzydłowego okna, zacienionego winoroślą, drobna, energiczna kobieta około czterdziestki prasowała grube muślinowe koloratki. Patrzyła na mnie nieufnym wzrokiem, dopóki się nie odezwałem.

— Nazywam się Paul Manning — wyrecytowałem, zauważając, że to nazwisko nic jej nie mówi. — Moja matka nazywała się z domu Moneypenny — dodałem. — Margaret Moneypenny.

— I wyszła za Johna Manninga z Birmingham — dopowiedziała ochoczo pani Holman. — A ty jesteś jej synem. Usiądź! Jakże się cieszę, że cię widzę. Pomyśleć tylko, że Margaret ma syna! Jeszcze niedawno sama była dzieckiem. Dwadzieścia pięć lat temu, gwoli ścisłości. Co cię sprowadza w te strony?

Usiadła, jakby przytłoczona ciekawością, co też wydarzyło się w ciągu tych dwudziestu pięciu lat, które upłynęły od czasu, kiedy ostatnio widziała się z moją matką. Jej córka, a zarazem imienniczka zabrała się za wełnianą robótkę — pamiętam, że dziergała długą, szarą męską skarpetę — a robiła to, nie spuszczając wzroku. Czulem na sobie nieustanne spojrzenie tych ciemnoszarych oczu, chociaż w którymś momencie, kiedy ukradkiem zerknąłem w jej stronę, wpatrywała się akurat w punkt na ścianie za moimi plecami.

Zasypawszy mnie pytaniami, kuzynka Holman wydała z siebie głębokie westchnienie.

— Pomyśleć tylko, że odwiedził nas syn Margaret Moneypenny! — powiedziała. — Szkoda, że nie ma wielebnego. Phillis, na którym polu pracuje dzisiaj ojciec?

— Na dużym; zaczynają kosić kukurydzę.

— W takim razie lepiej go nie wzywać, choć bardzo chciałabym, żebyś go poznał. Ale duże pole leży kawał drogi stąd. Zanim jednak się stąd ruszysz, trzeba ci wypić kieliszek wina i zjeść kawałek ciasta. Skoro musisz iść, to trudno; wielebny przychodzi zwykle około czwartej, kiedy parobkowie mają przerwę.

— Muszę... Już dawno powinienem był wracać.

— W takim razie weź klucze, Phillis.

Udzieliła córce szeptem kilka wskazówek, po czym Phillis wyszła z pokoju.

— To moja kuzynka, prawda? — spytałem.

Byłem pewien, że nią jest, ale zależało mi, by skierować rozmowę na jej temat, a nie bardzo wiedziałem, jak zacząć.

— Tak... Phillis Holman. Teraz... jest już jedynaczką.

Czy na dźwięk słowa „teraz”, czy też dlatego, że przez chwilę ujrzałem w jej oczach dziwną tęsknotę, domyśliłem się, że mieli więcej dzieci, które widocznie zmarły.

— Ile lat ma kuzynka Phillis? — dociekałem, ośmielając się wypowiedzieć nowe imię, które w jakiś uroczy sposób wydawało mi się brzmieć znajomo, lecz kuzynką Holman nie zwróciła na to uwagi, skupiając się na odpowiedzi.

— W święto pracy skończyła siedemnaście. Wielebny nie lubi, kiedy nazywam ten dzień świętem pracy — dodała, poprawiając się z pełną czci powagą. — Pierwszego maja Phillis skończyła siedemnaście lat.

A ja za miesiąc skończę dziewiętnaście, powiedziałem sobie w myślach, nie wiedzieć czemu. W tym momencie Phillis przyniosła na tacy kieliszek wina i ciasto.

— Mamy wprawdzie służącą — wyjaśniła kuzynka Holman — ale dzisiaj ubijanie masła, więc jest zajęta. — Duma nakazała jej przeprosić za to, że gościa musi obsługiwać jej córka.

— Dla mnie to przyjemność, mamó — odezwała się Phillis niskim, pełnym powagi głosem.

Poczułem się jak postać rodem ze Starego Testamentu — ktoś, kogo imienia nie mogłem sobie przypomnieć, a kto był obsługiwany i zabawiany przez córkę gospodarza domu. Może sługa Abrahama, któremu Rebeka dała napić się wody przy studni? Uważałem, że Izaak obrał niezbyt przyjemny sposób na znalezienie sobie żony. Ale Phillis nigdy o takich rzeczach nie myślała. Była zacną, uprzejmą młodą kobietą, a jej suknia, jak i ona sama, pełne były dziecięcej prostoty.

Wzniosłem toast za zdrowie nowo poznanej kuzynki i jej męża, tak jak mnie nauczono, po czym odważyłem się wypowiedzieć imię Phillis,

chyląc głowę w jej stronę; byłem jednak zbyt zmieszany, by podnieść wzrok i przekonać się, jak przyjęła ów wyraz uznania.

— Muszę już iść — oznajmiłem potem, podnosząc się.

Żadnej z kobiet nie przyszło do głowy, by napić się ze mną wina, tylko kuzynka Holman ułamała przez grzeczność kawałek ciasta.

— Żałuję, że nie ma wielebnego — powtórzyła, także wstając z miejsca.

Skrycie cieszyłem się, że go nie zastałem. Ostatnimi czasy nie bardzo przepadałem za wielebnymi, a ten w moim mniemaniu musiał być szczególnie wymagający, skoro nie pochwalał określenia „święto pracy”. Zanim jednak wyszedłem, kuzynka Holman kazała mi obiecać, że przyjadę w następną sobotę, by spędzić z nimi całą niedzielę i choć na chwilę zobaczyć się z „wielebnym”.

— Przyjedź już w piątek, jeśli możesz — powiedziała na pożegnanie w drzwiach wikarówki, przysłaniając dłonią oczy przez blaskiem zachodzącego słońca.

W domu została kuzynka Phillis, złotowłosa, o olśniewającej cerze, jedyne światło w kącie cienistego pokoju. Nie podniosła się, kiedy szykowałem się do wyjścia; spojrzała mi tylko prosto w oczy i spokojnym tonem odpowiedziała na moje słowa pożegnania.

Przy torach zastałem pana Holdswortha pochłoniętego nadzorowaniem prac. Korzystając z wolnej chwili, zapytał:

— No, Manning, jak tam twoje kuzynostwo? Czy da się pogodzić prawienie kazań z uprawą roli? Jeśli ten klecha ma równie praktyczne podejście jak prawdziwi księża, to będę skłonny obdarzyć go szacunkiem.

Jednak niezbyt uważnie słuchał mojej odpowiedzi, zajęty raczej instruowaniem swoich robotników. Zresztą i ja z odpowiedzią się nie spieszyłem, a najistotniejszą częścią mojej relacji była wzmianka o tym, iż zostałem zaproszony.

— Naturalnie, możesz jechać... choćby już w piątek, jeśli chcesz; nie widzę powodu, dla którego miałbyś nie jechać już w tym tygodniu; odwaliłeś wszakże kawał niezłej roboty, stary przyjacielu.

Nie bardzo miałem ochotę wyruszać już w piątek, ale kiedy nadszedł ów dzień, uznałem, że lepiej jechać niż siedzieć na kwaterze, skorzystałem więc z pozwolenia pana Holdswortha i w godzinach popołudniowych, nieco

później niż ostatnio, udałem się na farmę Hope. Drzwi wikałówki zastałem otwarte; wpuszczały do wnętrza domu delikatne wrześnie powietrze, tak złagodzone słonecznym ciepłem, że na zewnątrz wydawało się goręcej niż w środku, mimo iż w kominku przy stercie popiołu tliła się szczapa drewna. Liście górującej nad oknem winorośli przybrały odcień żółci, a ich krawędzie tu i ówdzie zbrązowiły od skwaru; tym razem panie nie były zajęte prasowaniem: kuzynka Holman siedziała przed domem i cerowała koszulę, a Phillis dziergała w pokoju dziennym: zdawało się, że przesiedziała tam cały tydzień. W ogrodzie za domem przechadzały się pstrokate kury, dziobiąc w ziemi, a wystawione na świeżym powietrzu bańki na mleko lśniły jasno. Dziedziniec był porośnięty kwieciami, które pięło się po murku i siodlarni, kwitnąc samoistnie nawet w paśmie traw, które ciągnęło się wzdłuż ścieżki prowadzącej za dom. Wyobraziłem sobie, że mój niedzielny płaszcz będzie jeszcze przez kilka dni pachniał różami i rutą, których aromat unosił się w powietrzu. Raz po raz kuzynka Holman sięgała dłonią do stojącego u jej stóp koszyka z przykrywką i garściami rzucała ziarno gołębiom, które gruchały, trzepocąc skrzydłami w oczekiwaniu na smaczny posiłek.

Widząc mnie, przywitała się serdecznie.

— Jakże miło... niezmiernie miło — ciepło uścisnęła moją dłoń. — Phillis, przyjechał kuzyn Manning!

— Wolałbym Paul, dobrze? — wtrąciłem. — Tak nazywają mnie w domu. Tylko w pracy mówią mi Manning.

— Dobrze, w takim razie Paul. Pokój już na ciebie czeka. Obiecałam wielebnemu, że przygotuję go na piątek, bez względu na to, czy przyjedziesz, czy nie. Wielebny musiał się udać do Ashfield, ale wróci wieczorem, licząc, że cię tu zastanie. Pokażę ci twój pokój, a potem będziesz mógł się odświeżyć.

Wróciwszy odniosłem wrażenie, że kuzynka nie bardzo wie, co ze mną począć. Może uznała mnie za nudziarza albo przeszkadzałem jej w pracy, bo zawołała Phillis, kazała jej założyć czepek i pójść ze mną do Ashfield, do jej ojca. Gdy wyruszyliśmy, denerwowałem się trochę, aby dobrze wypaść, żałując zarazem, że moja towarzyszka jest taka wysoka;

przewyższała mnie bowiem swoim wzrostem. Kiedy się zastanawiałem, jak zacząć rozmowę, zrobiła to pierwsza.

— Zapewne jesteś na co dzień bardzo zajęty pracą, kuzynie Paulu.

— Tak. O wpół do dziewiątej musimy być w biurze. Mamy godzinną przerwę na obiad, a potem pracujemy dalej aż do wieczora.

— To chyba nie masz zbyt wiele czasu na czytanie.

— Nie — przyznałem, naraz zdając sobie sprawę, że nie wykorzystuję w pełni wolnego czasu, który mi pozostaje.

— Ja też nie. Mój ojciec zawsze ma dla siebie rano całą godzinę, zanim pójdzie w pole, ale matka nie chce, żebym wstawała tak wcześnie.

— A moja zawsze każe mi się wcześnie zrywać, kiedy jestem w domu.

— O której zwykle wstajesz?

— Och, no cóż... bywa, że i o wpół do siódmej, ale to raczej rzadko. — Przypomniałem sobie, że tego lata zdarzyło mi się to jedynie dwa razy.

Odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

— Mój ojciec wstaje o trzeciej. Matka też wstawała wcześnie, póki nie zachorowała. Ja chciałabym wstawać o czwartej.

— O trzeciej?! Co twój ojciec robi o tak wczesnej porze?

— Spytaj raczej, czego nie robi. Najpierw samotnie oddaje się kontemplacjom w swoim pokoju, potem dźwiękiem dzwonu wzywa parobków na dojenie krów, budzi naszą służącą Betty i zwykle daje też jeść koniom, zanim przyjdzie nasz stajenny Jem. To starszy człowiek, dlatego ojciec nie chce zakłócać mu spokoju. Ogląda końskie nogi, grzbiety, kopyta, sprawdza postronki, pilnuje, czy wystarczy owsa i paszy, zanim konie ruszą w pole; często musi wymieniać rzemienie przy batach; zachodzi do świń, żeby miały co jeść, zagląda do karmideł i sporządza spis żywności niezbędnej dla ludzi i zwierząt, no i oczywiście spisuje zamówienie na opał. Potem, o ile czas mu pozwoli, przychodzi do mnie i czytamy razem książki, ale tylko w języku ojczystym; łacinę zostawiamy sobie na wieczór, bo wtedy mamy więcej czasu. Następnie trzeba zawołać parobków na śniadanie, pokroić im chleb i ser, dopilnować, czy mają wodę w butelkach, i posłać ich do pracy. Wtedy, około wpół do siódmej, jemy swoje śniadanie... Oto i ojciec — wykrzyknęła, pokazując mi mężczyznę

bez płaszcza, przewyższającego o głowę dwóch innych, którzy towarzyszyli mu podczas pracy.

Ich widok przysłała gęstwina liści jesionowego żywopłotu i pomyślałem sobie, że z kimś go pomyliłem albo coś źle zrozumiałem: ten człowiek wyglądał mi na nader krzepkiego farmera i nie miał w sobie nic z fałszywej skromności, którą zawsze przypisywałem wszystkim duchownym. A jednak był to pastor Ebenezer Holman. Skinął do nas głową, kiedy ruszyliśmy przez ściernisko; podejrzewałem, że wyszedłby nam na spotkanie, gdyby nie to, że wydawał właśnie polecenia swoim parobkom. Zauważyłem też, że Phillis przypomina sylwetką bardziej ojca niż matkę. Pastor i jego córka byli silnie zbudowani, tyle że on miał cerę jasną i rumianą, a ona piękną i delikatną. Jego żółtawe włosy koloru piasku zdążyły już posiwieć, co jednak nie ujmowało mu wigoru. Nigdy nie widziałem potężniejszego mężczyzny — miał szeroką pierś, szczupły tors, dobrze osadzoną głowę.

Kiedy się do niego zbliżyliśmy, przerwał pracę i wysunął się naprzód, wyciągając do mnie dłoń i zwracając się przy tym do Phillis.

— Cóż, moja panienko, to pewnie kuzyn Manning. Jedną chwileczkę, młodzieńcze, włożę tylko płaszcz, aby godnie i należycie się z tobą przywitać. Ale... Ned, trzeba by tu wykopać dół z wodą: to lichy kawałek ziemi, brzydki, twardy, gliniasty. Musimy się za to zabrać w poniedziałek... Przepraszam, kuzynie Manning... Trzeba też pokryć strzechą dom starego Jema. Mógłbyś to zrobić jutro, bo ja będę zajęty. — Nagle jego niski, basowy głos przybrał dziwnie kościelną nutę. — Zaśpiewajmy psalm — dodał. — „Przybądźcie wszystkie języki dźwięczne”. Na melodię „Góra Efraima”.

Uniósł łopatę i zaczął wybijać nią takt; dwaj parobkowie najwyraźniej znali tekst i melodię, w przeciwieństwie do mnie. Phillis też znała; jej silny głos podążył za głosem ojca, gdy tylko ten zaintonował psalm; potem przyłączyły się do nich niepewne, aczkolwiek melodyjne głosy parobków. Phillis zerknęła na mnie, zdumiona moim milczeniem, a ja najzwyczajniej w świecie nie znałem tekstu. Staliśmy tak w pięcioro, wszyscy oprócz Phillis z gołymi głowami, na wyblakłym ściernisku, z którego nie wywieziono jeszcze snopów zboża — po jednej stronie rósł ciemny bór,

skąd dochodziło gruchanie gołębi; po drugiej przez gęstwinę jesionów przeziarała niebieska dal. Pomyślałem sobie, że gdybym nawet znał słowa tego hymnu i mógłbym go zaśpiewać, to uczucie zażenowania na widok tej niecodziennej sceny ścisnęłoby mi gardło.

Po odśpiewaniu psalmu parobkowie oddalili się, zanim zdążyłem się ruszyć. Widziałem, jak pastor zakłada płaszcz, patrząc na mnie z przyjaznym zaciekawieniem w oczach, podczas gdy ja wciąż tkwiłem nieruchomo w miejscu.

— Przypuszczam, że wy, kolejarze, nie kończycie dnia pracy śpiewaniem psalmów — powiedział. — A to całkiem niezły zwyczaj... naprawdę niezły. Już wcześniej śpiewaliśmy sobie, o tak, dla poprawienia nastrojów.

W odpowiedzi na te słowa nie miałem nic szczególnego do powiedzenia, choć przez moją głowę przetaczał się natłok myśli. Od czasu do czasu zerkałem na mojego towarzysza. Płaszcz miał czarny, kamizelkę także; był bez koloratki i znad śnieżnobiałej koszuli widać było jego grubą, masywną szyję. Ubrany był w bure spodnie do kolan, szare wełniane podkolanówki (wiedziałem nawet chyba, jakiej marki) oraz nabijane ćwiekami buty. Kapelusz trzymał w dłoni, jakby to, że powiew wiatru unosi mu włosy, sprawiało mu przyjemność. Po chwili dostrzegłem, jak wziął swoją córkę za rękę, po czym objęci ruszyli w stronę domu. Po drodze trzeba było przejść przez ulicę. Było tam dwoje dzieci; jedno z nich leżało na trawie, płacząc żałośnie, drugie stało bez ruchu z palcem w buzi, a z jego oczu po policzkach spływały powoli łzy współczucia. Przyczyna ich rozpacz była oczywista; na drodze leżał potłuczony brązowy dzbanek, a obok widniała mała kałuża mleka.

— No proszę! Co ja tu widzę? — zagaił pastor. — Coś ty tam przeszkrobał, Tommy?! — Jedną ręką energicznie podniósł z ziemi małego rozplakanego chłopca w podkoszulku.

Zaskoczony Tommy spojrzał nań szeroko otwartymi oczami, w których nie było strachu — widocznie dobrze znali się z pastorem.

— To dzbanek naszej mamusi! — wyjąkał wreszcie, ponownie uderzając w płacz.

— No cóż! Myślisz, że od twojego płaczu dzbanek się naprawi, a mleko z powrotem się do niego wleje? Jak w ogóle do tego doszło, Tommy?

— Bo ja z nim — tu wskazał ruchem głowy na kolegę — się ścigaliśmy.

— I Tommy mówił, że mnie pokona — dodał drugi z chłopców.

— No, głupty, powinniście chyba wiedzieć, że nie należy się ścigać z dzbankiem pełnym mleka — powiedział pastor jakby w zamyśleniu. — Mógłbym was sprać i oszczędzić waszej mamie kłopotu, bo jeśli tego nie zrobię, to ona na pewno dobrze się wam do skóry.

Obaj chłopcy na powrót wybuchli płaczem, co tylko potwierdziło prawdziwość jego słów.

— Albo mogę was zabrać na farmę i dać wam trochę mleka, ale wtedy znowu zaczniecie się ścigać i moje mleko stworzy na ziemi jeszcze jedną białą kałużę. Dlatego chyba najlepsze będzie lanie... jak myślicie?

— My już nie będziemy się ścigać — obiecał starszy z chłopców.

— W takim razie nie jesteście dziećmi, tylko aniołami.

— W żadnym wypadku.

— A to dlaczego?

Popatrzyli po sobie, szukając odpowiedzi. Wreszcie jeden z nich rzekł:
— Bo anioły to lud wymarły.

— No dobrze, nie będziemy wnikać w teologię. Może pożyczę wam blaszaną kankę z przykrywką, żebyście mogli zanieść mleko do domu? Taka przynajmniej się nie rozbije, ale jak się znów będziecie ścigać, to za mleko nie ręczę. Koniec i kropka!

Puścił dłoń córki i wyciągnął ręce do chłopców. Ruszyliśmy z Phillis za nimi, przysłuchując się dziecięcej paplaninie, która popłynęła z ust towarzyszy pastora i najwyraźniej była miłą dla jego uszu.

Po chwili niespodziewanie przywitał nas płowoczerwony wieczorny krajobraz. Pastor odwrócił się i zacytował coś po łacinie.

— To cudowne — dodał — jak trafne i nieśmiertelne okazały się epitety Wergiliusza; pisał je prawie dwa tysiące lat temu w dalekiej Italii, a jednak z pełną dokładnością opisują to, z czym zmagamy się w naszej parafii w Heathbridge, w naszym hrabstwie... i kraju.

— Też tak uważam — przyznałem, rumieniąc się ze wstydu, bo nie zapamiętałem nic z łaciny, której do tej pory liznałem.

Pastor skierował wzrok na Phillis; jej twarz w milczeniu wyrażała pełne zrozumienia uznanie, na które ja w swej niewiedzy nie umiałem się zdobyć.

Rety, to gorszą niż katechizm, pomyślałem sobie; nie pamiętałem nic prócz kilku wyrazów.

— Phillis, moja panno, odprowadź chłopców do domu i powiedz ich matce o ściganiu się i rozlanym mleku. Mamusi zawsze należy mówić prawdę — dodał, zwracając się do dzieci. — Przekaż jej ode mnie, że mam największą brzozową różgę w całej parafii i jak tylko jej synowie będą niegrzeczni, to niech ich do mnie przyprowadzi. Jeśli uznam, że zasłużyli na lanie, spiorę ich lepiej niż własna matka.

Phillis z dziećmi oddalili się do mleczarni, która znajdowała się gdzieś za domem, a ja z pastorem weszliśmy przez wikarówkę do pokoju dziennego.

— Ich matka jest trochę żółowata — powiedział pastor. — Zdarza się, że leje ich z byle powodu. A parafialną różgę trzymam razem z rozporządzeniami parafialnymi.

Usiadł na trójkątnym krześle przy kominku i rozejrzał się po pustym pokoju.

— Gdzie moja połowica? — spytał pod nosem, lecz ta zjawiała się po chwili; swoim zwyczajem zawsze witała go w domu — spojrzeniem, dotykiem, i niczym więcej — jak tylko przekroczył próg, lecz tym razem się minęli.

Nie zważając na moją obecność, opowiedział jej o tym, co robił przez cały dzień, potem oznajmił, wstając z krzesła, że idzie „przywdziać szatę pastora” i wówczas spotkamy się wszyscy w salonie na herbacie. Salonem nazywano duży pokój z wielkimi skrzydłowymi oknami, który znajdował się po drugiej stronie szerokiego, wykładanego płytami przejścia prowadzącego od drzwi zakrystii do obszernych schodów o niskich, lśniących dębowych stopniach, nie okrytych żadnym dywanem. Na podłodze pośrodku salonu leżał robiony ręcznie chodnik z krajki. Na ścianach wisiało kilka staroświeckich obrazów rodowych rodziny Holmanów; palenisko w kominku oraz pogrzebacze były bogato zdobione mosiężnymi ornamentami, a na stole, który stał przy ścianie między oknami, leżały tomy Biblii Matthew Henry’ego w formacie folio,

na których ustawiono wielki wazon z kwiatami. Schlebiało mi, że zaproszono mnie do tego pokoju i starałem się okazać za to wdzięczność, jednak potem już nigdy nie jadalśmy tam posiłków, co mnie zresztą ucieszyło, gdyż w pokoju dziennym, bądź też jadalnym czy bawialnym, jak by go nie nazwać, było dużo bardziej przytulnie i wesoło. Przy wspaniałym, ogromnym kominku leżał dywanik, przy palenisku stał piecyk z haczykiem, z którego nad jasnymi płomieniami ognia zwisał czajnik. Wszystko, co powinno być czarne i lśniące, takie właśnie było, zaś kamienne płyty, zasłony w oknach i inne jasne elementy połyskiwały czystością i nieskazitelną bielą. Naprzeciw kominka na całej długości pokoju stał stół do gry w *shuffleboard* z odpowiednio nachylonym blatem, aby zręczny gracz mógł rzucać krążki w punktowane pola. Stały tam kosze pełne białych haftowanych tkanin, a na ścianie wisiała mała półeczka z książkami, które służyły do czytania, a nie jako podstawki pod wazon. Tamtego wieczoru, kiedy zostałem w pokoju sam, sięgnąłem po kilka takich książek — Wergiliusz, Juliusz Cezar, gramatyka grecka — o rany, a niech mnie! A na każdej z nich podpisano Phillis Holman! Zamknąłem je, odłożyłem na miejsce i odszedłem od półki możliwie jak najdalej. Cóż, omijałem też z daleka kuzynkę Phillis, która siedziała cicho nad swoją robótką, a jej włosy wydawały się jeszcze bardziej złociste, rzęsy dłuższe, a smukła szyja bielsza niż kiedykolwiek. Wypiwszy herbatę, przeszliśmy z powrotem do pokoju dziennego, aby pastor mógł zapalić fajkę bez obawy, że zasmoli dymem blad różowe zasłony w salonie. Był już „przebrany” w pastora, bo założył grubą koloratkę z białego muślinu, jedną z tych, które na moich oczach prasowała kuzynka Holman podczas moich pierwszych odwiedzin na farmie Hope; dokonał też paru innych, mniej istotnych zmian w swoim ubiorze. Siedział wpatrzony we mnie, lecz nie byłem pewien, czy w ogóle mnie dostrzega. Wtedy bardzo chciałem, by mnie dostrzegął; mierzył mnie i jakby zgłębiał swoim tajemniczym umysłem. Raz po raz wyjmował z ust fajkę, by strzepać popiół, i zasypywał mnie co rusz nowymi pytaniami. Przy tych, które dotyczyły moich osiągnięć czy przeczytanych książek, wierciłem się niespokojnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Z czasem pastor zszedł na bardziej przyziemne tematy związane z kolejną, a tu już czułem się pewniejszy. Moja praca wydawała

mi się nadzwyczaj ciekawa, zresztą pan Holdsworth z pewnością nie trzymałby mnie u siebie, gdybym nie angażował się w nią całym sobą i nie poświęcał jej tyle czasu; poza tym głowę miałem zajęta problemami, które spadły na nas wskutek tego, że nie mogliśmy się dokopać przez mchy do twardego gruntu, na którym mieliśmy kłaść szyny. W zacięciu, z jakim o tym opowiadałem, nie kryłem zaskoczenia wyjątkową trafnością pytań pastora. Nie chodzi o to, że posiadał szczegółową wiedzę na temat inżynierii: tego należało się spodziewać, ale znając okoliczny teren, jasno myślał i logicznie rozumował. Phillis — tak bardzo do niego podobna, zarówno z wyglądu, jak i z umysłu — raz po raz przerywała robótkę i zerknęła na mnie, próbując w pełni zrozumieć, o czym mówię. Zdawało mi się, że rozumiała, i chyba tym większych dokładałem starań, by wyrażać się jaśniej i lepiej dobierać słowa, niż miałem to w zwyczaju.

Przekona się, że przynajmniej posiadam jakąś praktyczną wiedzę, nawet jeśli nie znam dawno zapomnianych języków, pomyślałem sobie.

— Rozumiem — powiedział wreszcie pastor. — Wszystko jasne. Masz dobrze poukładane w głowie, mój chłopcze... Powiedz sam, po kim ty to masz.

— Po moim ojcu — odrzekłem dumnie. — Czy nie słyszał wielebny o odkrytym przez niego nowym sposobie przetaczania wagonów? Pisali o tym w „Dzienniku”. Ojciec dostał za to patent. Sądziłem, że wszyscy słyszeli o opatentowanej wciągarni Manninga.

— My nie wiemy nawet, kto wynalazł alfabet — odparł z uśmiechem, pykając swoją fajkę.

— Rzeczywiście, chyba nie — przyznałem na wpół urażony. — To było tak dawno temu.

Pyk, pyk, pyk.

— Ale twój ojciec to zapewne wybitny człowiek. Słyszałem o nim kiedyś, a niewielu z tak daleka cieszy się sławą, która sięga Heathbridge.

— Mój ojciec istotnie jest wybitnym człowiekiem. To nie tylko moje zdanie, ale i pana Holdswortha i... wszystkich innych.

— Słusznie czyni, zachwalając swego ojca — wtrąciła kuzynka Holman, jakby mnie broniąc.

Wzburzyłem się w środku, przekonany, że mojego ojca wcale nie trzeba zachwalać. Jego geniusz mówił sam za siebie.

— Tak... bardzo słusznie — odparł niewzruszenie pastor. — Jego słowa płyną bowiem prosto z serca... a jak mniemam, serce także ma dobre. Niejeden wszakże młody kogutek gotów jest wspiąć się na gnojowisko i pisać o tym, jakiego to wspaniałego ma ojca, a wszystko po to, by swoje własne piórka chwalić... Chciałbym poznać twojego ojca — dodał, zwracając się ku mnie ze szczerą życzliwością w oczach.

Byłem tak rozsierdzony, że nie zareagowałem. Niebawem, wypaliwszy fajkę, pastor wstał i wyszedł z pokoju. Phillis szybkim ruchem odłożyła robótkę i wybiegła za nim. Po chwili wróciła i znowu usiadła. Niedługo potem, jeszcze zanim zdążyłem odzyskać dobry nastrój, w drzwiach pojawił się pastor i zawołał mnie do siebie. Przeszedłem przez wąski, kamienny korytarz do osobliwego pomieszczenia o wielu kątach i powierzchni niespełna dziesięciu metrów kwadratowych; był to po części gabinet, a po części biuro rachunkowe, z widokiem na podwórze. Znajdowało się tam biurko, kontuar, spluwaczka, kilka półek ze starymi księgami teologicznymi oraz jedna mniejsza, wypełniona książkami o weterynarii, uprawach, nawozach i tym podobnych; do pobielanych ścian za pomocą pluskiewek, gwoździków, szpilek i innych ostrych drobiazgów, które akurat znalazły się pod ręką, przyręczepiane były skrawki papieru z notatkami; na podłodze stał pojemnik z narzędziami stolarskimi, a na biurku leżały jakieś stenogramy.

Pastor odwrócił się, niemal wybuchając śmiechem.

— Moja niemądra córka uważa, że cię rozgniewałem. — Oparł swoją wielką, masywną dłoń na moim ramieniu. — A ja jej na to: ależ skąd? Co z dobroci płynie, życzliwie przyjęte być powinno... Czyż nie?

— Niezupełnie, sir — odrzekłem, rozbrojony jego tonem — ale na przyszłość będę o tym pamiętał.

— To dobrze. Ty i ja zostaniemy przyjaciółmi. Szczerze mówiąc, mało kogo tutaj zapraszam. Ale dzisiaj rano czytałem książkę, z której niewiele zdołałem zrozumieć. Trafiała do mnie kiedyś przez pomyłkę. Zaprenumerowałem kazania brata Robinsona, aż tu nagle przyszło to. Ucieszyłem się, bo te kazania, jakie by nie były, są jakby... no cóż,

nieważne! Zapłaciłem za obie książki, przez co musiałem dłużej chodzić w starym palcie; należy wszakże spożytkować, co los zsyła. Oto właśnie ta książka.

Był to typowy podręcznik do mechaniki zawierający terminologię techniczną oraz głębszą matematykę; ta, ku mojemu zdziwieniu, wydała się pastorowi łatwa; poprosił tylko o wyjaśnienie terminów technicznych, co uczyniłem bez trudu.

Podczas gdy pastor wertował podręcznik w poszukiwaniu wyrazów, nad którymi najbardziej łamał sobie głowę, mój rozbiegany wzrok powędrował na ścianę i mimowolnie przeczytałem jedną z przyczepionych tam kartek, której treść została ze mną po dziś dzień. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to jakiś terminarz, lecz po chwili zauważyłem, iż na każdy z siedmiu dni tygodnia zapisano modlitwy w poszczególnych intencjach: w poniedziałek za rodzinę, we wtorek za nieprzyjaciół, w środę za kościoły niezależne, a w czwartek za wszystkie inne, w piątek za ludzi cierpiących, w sobotę za duszę pastora, w niedzielę za zbłąkanych i grzeszników, aby powrócili na łono owczarni.

Poproszono nas do pokoju dziennego na kolację. Drzwi łączące pokój z kuchnią były otwarte, wszyscy obecni stali, a pastor, mężczyzna potężny i wysoki, położywszy jedną dłoń na zastawionym stole, uniósł drugą w górę i rzekł niskim głosem, który przypominałby gromkie huknięcie, gdyby nie jego głęboki, soczysty ton, pozbawiony osobliwego brzmienia, typowego zdaniem niektórych dla pobożnisiów: — W naszych posiłkach i we wszystkim, co czynimy, niechaj będzie chwała Panu.

Na kolację był wyśmienity pieróg z mięsem. Nas w pokoju dziennym obsłużono jako pierwszych, a potem pastor uderzył ręką noża o stół i rzekł:

— Teraz albo wcale — co oznaczało, czy ktoś z nas chciałby dokładkę, a kiedy wszyscy odmówili, słowami bądź też milczeniem, pastor zastukał w stół dwa razy i do pokoju wbiegła Betty, by zabrać naczynie z daniem głównym do kuchni, gdzie na swój posiłek czekali już starzec, młodzieniec i jeszcze jedna służąca.

— Zamknij, proszę, drzwi — nakazał pastor Betty.

A gdy drzwi kuchni zamknęły się za Betty, kuzynka Holman wyjaśniła:

— To ze względu na ciebie. Kiedy w domu są sami swoi, pastor chętnie pozwala zostawiać drzwi do kuchni otwarte. Rozmawia wtedy ze służbą jak z domownikami.

— Jesteśmy wtedy jedną rodziną, tak jak przy modlitwie — tłumaczył pastor. — Ale wróćmy do naszej rozmowy... Czy mógłbyś mi polecić jakąś prostą książeczkę o dynamice, niedużą, by zmieściła mi się do kieszeni i żebym mógł ją czytywać w wolnych chwilach za dnia?

— W jakich wolnych chwilach, ojcze? — wtrąciła Phillis, na której twarzy pierwszy raz ujrzałem wyraz bliski uśmiechu.

— Żebyś wiedziała, córko. Niejedna minuta upływa zmitręzona czekaniem na parobków, a skoro budują nam tu kolej, to wypadałoby coś niecoś o niej wiedzieć.

Pomyślałem o tym, jak opisywał swój „ogromny, nieprzeparty apetyt” na wiedzę. Miał także spory apetyt na dobra bardziej namacalne jak leżące tuż przed nim wiktuały. Zauważyłem jednak, a przynajmniej chciałem zauważyć, że przy jedzeniu i piciu także kierował się pewnymi zasadami.

Po kolacji wszyscy domownicy zebrali się na modlitwie. Była to długa, spontaniczna modlitwa, która mogłaby się wydawać jałowa, gdybym nie zasmakował rutyny dnia, na zakończenie którego ją wygłaszano. Potrafiłem poniekąd zrozumieć myśli poprzedzające chaotyczne wypowiedzi pastora, który klęczał pośrodku nas, z zamkniętymi oczami i wyciągniętymi złożonymi rękami — niekiedy długim milczeniem wyrażał to, co jeszcze pragnął „przedłożyć Panu” (używając jego własnych słów) — a całą modlitwę zakończył błogosławieństwem. Pobłogosławił bydło i inne żywe stworzenia, a dźwięk znajomych słów wyrwał mnie z zadumy, gdyż zaczynałem już odpływać myślami.

Muszę też wspomnieć tutaj o dziwnym zdarzeniu, które zaszło pod koniec modlitwy, jeszcze zanim podnieśliśmy się z kolan (i zanim obudziła się Betty, która swoim zwyczajem zapadła na klęczkach w drzemkę, opierając ociężałą głowę o swoje krzepkie ramiona); pastor, wciąż klęcząc pośród nas, lecz z otwartymi oczami i rękoma opuszczonymi po bokach, zwrócił się naraz do starszego mężczyzny, który spojrzał nań uważnie.

— Johnie, czy zadbałeś o to, by Daisy dostała wieczorem ciepły mesz? Trzeba go przyrządzać wedle przepisu, Johnie: dwie kwarty kleiku, łyżka imbiru i ćwierć pinty piwa. Temu biednemu zwierzęciu jest to niezbędne; miałem ci o tym powiedzieć, ale niestety wyleciało mi to z głowy. Wygłaszam tu błogosławieństwa, a sam zapominam o najważniejszym, co tylko mnie kompromituje — rzekł, ścisząc głos.

Przed pójściem na spoczynek pastor oznajmił, że do końca mojej wizyty, czyli do niedzieli, będzie mnie widywał bardzo rzadko lub wcale, ponieważ w soboty i niedziele poświęcał się swoim obowiązkom duszpasterskim. Pamiętam, że słyszałem już o tym od właściciela gospody, kiedy go wypytywałem o moich krewnych. Bynajmniej się tym nie zmartwiłem, bo upatrywałem w tym sposobności, by lepiej poznać obie kuzynki, mając przy tym szczerą nadzieję, że Phillis nie zagai mnie w temacie języków martwych.

Kiedy położyłem się do łóżka, przyśniło mi się, że dorównuję wzrostem kuzynce Phillis, że nagle jakimś cudem wyrosły mi wąsy i że za sprawą jakichś nieziemskich mocy posiadam znajomość łaciny i greki. Niestety! Obudziłem się jako filigranowy młokos bez zarostu, któremu z łaciny, której ongiś miał okazję liznąć, w pamięci zostało jedynie „tempus fugit”. Ubierając się, wpadłem na genialny pomysł: ubiegnę kuzynkę Phillis w zadawaniu pytań, dzięki czemu to ja będę odpowiedzialny za wybór tematów do rozmowy.

Mimo wczesnej pory wszyscy byli już po śniadaniu i na kuchence stały tylko mój talerz z chlebem i kubek z mlekiem, czekając na moje przyjście. Wszyscy byli zajęci swoimi obowiązkami. Jako pierwsza w pokoju dziennym zjawiała się Phillis z koszykiem pełnym jajek. Wierny swemu postanowieniu, zagaiłem:

— Co tam masz?

Popatrzyła na mnie przez chwilę, po czym poważnym tonem odparła:

— Ziemniaki!

— Wcale nie! — zaprotestowałem. — To przecież jajka. Dlaczego mówisz, że ziemniaki?

— To po co pytasz, jakbyś nie umiał odróżnić jednych od drugich? — zaripostowała.

Oboje naburmuszyliśmy się nieco.

— Sam nie wiem. Chciałem tylko samemu poprowadzić rozmowę, bo bałem się, że znowu zaczniesz mówić o książkach tak jak wczoraj. Nie znam za wiele tekstów, a ty i wielebny jesteście tacy odcytani.

— Nieprawda — odparła. — Ale jesteś naszym gościem i mama kazała mi uprzyjemnić ci tę wizytę. W takim razie dosyć już o książkach. O czym więc porozmawiamy?

— Nie wiem. Ile masz lat?

— W maju skończyłam siedemnaście. A ty?

— Dziewiętnaście. Jestem od ciebie starszy prawie o dwa lata — dodałem, wyprostowując się na całą swoją wysokość.

— Myliłam się więc, sądząc, że masz tylko szesnaście — odparła spokojnie, jakby nieświadoma tego, że jej słowa mogą mnie zdenerwować.

Nastała cisza.

— Co będziesz robić? — zapytałem potem.

— Powinnam posprzątać sypialnie, ale mama kazała mi dotrzymać ci towarzystwa — odpowiedziała z nutą żalu w głosie, jak gdyby sprzątanie należało do najłatwiejszych zadań.

— Pokażesz mi zwierzęta? Bardzo je lubię, chociaż niewiele o nich wiem.

— Doprawdy? Ogromnie się cieszę! Już myślałam, że skoro nie przepadasz za czytaniem książek, nie lubisz też zwierząt.

Zastanawiałem się, po co to powiedziała. Chyba w przekonaniu, że nasze gusta różnią się pod każdym względem. Przechadzając się razem po podwórzu, karmiliśmy drób; Phillis przyklękała na ziemi w swoim dziecięcym fartuszk pełnym ziarna i przywoływała puszyste, nieco płochliwe kurczęta, co bardzo niepokoiło ich matkę, drażliwą, nastroszoną kwokę. Wołała też na gołębie, które przylatywały na dźwięk jej głosu, trzepocąc skrzydłami. Przyjrzeliliśmy się wielkim koniom zaprzęgowym o lśniącej sierści, nakarmiliśmy cielęta, pogłaskaliśmy chorą krowę Daisy i podziwialiśmy te zdrowe na pastwisku. Wróciliśmy w porze obiadowej, zmęczeni, zgłodniaли i ubrudzeni; zgoła zapomniawszy o istnieniu takich zjawisk jak języki martwe, staliśmy się dobrymi przyjaciółmi.

Część II

Kuzynka Holman podała mi miejscową gazetę, żebym poczytał jej na głos. Sama w tym czasie zajęła się cerowaniem skarpet, których sterta piętrzyła się w koszu. Phillis pomagała matce. Czytałem i czytałem, nie bacząc na wypowiedane słowa, rozmyślając nad całym mnóstwem innych spraw: nad włosami Phillis, rozświetlonymi w popołudniowym słońcu, które padało na jej pochyloną głowę, nad panującą w domu ciszą, w której słychać było tykanie zegara na półpiętrze, nad różnorodnością nieartykułowanych dźwięków wydawanych przez kuzynkę Holman w reakcji na czytane przeze mnie teksty, by wyrazić współczucie, zdziwienie czy też grozę, jakie budziły w niej drukowane w prasie informacje. Ta całogodzinna cicha monotonia sprawiała, że czułem się, jakby moje życie trwało od zawsze i nigdy nie miało się skończyć, jakby ciągnęło się wiecznie w tych rozwlekłych paragrafach, w rozgrzanym od słońca pokoju, przed oczami moich dwóch milczących słuchaczek oraz kota, który spał zwinięty w kłębek na dywaniku przed samym kominkiem, a zegar na półpiętrze nieustannie odmierzał upływające chwile. Niebawem w drzwiach prowadzących do kuchni zjawiła się służąca Betty i gestem dała znak Phillis, która odłożyła na wpół zacerowaną skarpetę i bez słowa wyszła do kuchni. Zerknąwszy chwilę potem na kuzynkę Holman, zauważyłem, że ta śpi z głową zwieszoną na piersi. Kiedy odłożyłem gazetę z zamiarem pójścia za jej przykładem, jakiś podmuch powietrza z nieznanego źródła uchylił drzwi kuchni, które Phillis najwyraźniej zostawiła niedomknięte, i ujrzałem kawałek jej sylwetki, jak siedziała przy kredensie, nadzwyczaj szybko obierając jabłka swoimi zwinnymi palcami, raz po raz obracając przy tym głowę w stronę leżącej tuż obok na blacie książki. Podniosłem się cichutko, równie cichutko wszedłem do kuchni i zajrzałem jej przez ramię; zanim wyczuła moją bliskość, zdążyłem zauważyć, że książka napisana była w jakimś obcym dla

mnie języku, a jej tytuł brzmiał „L’Inferno”. Kiedy się zastanawiałem, co oznacza to słowo, Phillis drgnęła, odwróciła się i, jakby kontynuując wcześniej zaczęta myśl, westchnęła.

— Rany, ależ to trudne! Pomożesz mi? — Wskazała palcem na jakiś wers.

— Ja?! Nie wiem nawet, co to za język!

— Nie widzisz, że to Dante? — odparła niemal zniecierpliwiona, najwyraźniej bardzo potrzebując kogoś do pomocy.

— A więc to chyba po włosku? — spytałem powątpiewająco, gdyż nie byłem pewien.

— Właśnie. Bardzo chciałabym to zrozumieć. Czasem trochę pomaga mi ojciec, bo zna łacinę, ale on ma tak mało czasu.

— Myślałem, że ty też, skoro musisz robić kilka rzeczy na raz, tak jak w tej chwili.

— Och, to nic wielkiego! Ojciec kupił tanio całą masę starych książek. Dantego znam od dawna i zawsze bardzo lubiłam Wergiliusza. Obieranie jabłek to drobiazg; chciałabym tylko zrozumieć ten stary włoski język. Szkoda, że go nie znasz.

— Też żałuję — przyznałem, poruszony jej zapalczywym tonem. — Gdyby tylko był tutaj pan Holdsworth... On na pewno świetnie zna włoski...

— Kto to jest pan Holdsworth? — zapytała Phillis, podnosząc wzrok.

— To nasz główny inżynier. I w ogóle człowiek pierwsza klasa. Zna się na wszystkim. — W tym momencie mój podziw i duma z powodu zwierzchnika dały o sobie znać. Jeśli nawet mnie brakowało inteligencji i czytania, to przynajmniej pracowałem u kogoś, kto te cechy posiadał.

— Skąd on zna włoski? — dopytywała się Phillis.

— Budował kiedyś kolej w Piemoncie. To, zdaje się, gdzieś we Włoszech. No i musiał porozumiewać się z robotnikami po włosku. Słyszałem, jak mówił, że przez prawie dwa lata w tych dziwnych, odludnych miejscach, gdzie przebywał, miał do czytania tylko włoskie książki.

— O rety! — jęknęła Phillis. — Chciałabym... — urwała.

Nie byłem pewien, czy powinienem wyrazić na głos kolejną myśl, która przyszła mi do głowy, lecz w końcu ją wypowiedziałem.

— Może porozmawiam z nim o tej twojej książce i o twoich kłopotach z jej zrozumieniem?

Zamilkła na długą chwilę, po czym odparła:

— Nie! Lepiej nie. Ale jestem ci bardzo wdzięczna. Sama w końcu się połapię, o co chodzi, a wtedy łatwiej to sobie zapamiętam niż z czyjąś pomocą. Póki co, odłożę to na później. Ty też już lepiej idź, bo zaraz będę robić ciasto na paszteciki. W niedzielę zawsze jemy na obiad coś na zimno.

— To może mógłbym zostać i ci pomóc?

— O tak. Za wiele to mi nie pomożesz, ale lubię twoje towarzystwo.

Dobitność jej wypowiedzi mile mnie połechtała, a zarazem rozdrażniła. Schlebiało mi, że Phillis mnie lubi, jednak taki nieopierzony fircyk jak ja liczył na nieco więcej; z drugiej strony byłem świadom tego, że gdyby jej także chodziło o coś więcej, nie mówiłaby o tym tak otwarcie. Szybko się jednak pocieszyłem, że winogrona są kwaśne: taka wspaniała, wysoka dziewczyna w dziecięcym fartuszku, o pól głowy wyższa ode mnie, zaczytana w książkach, o których istnieniu nie miałem pojęcia, gotowa dyskutować o nich z większym zainteresowaniem niż na jakiegokolwiek tematy osobiste. To był ostatni dzień, gdy pomyślałem o mej kochanej kuzynce Phillis jako o przyszłej pani mego serca i życia. I właśnie dzięki temu, iż zaniechałem tej myśli, odrzucając ją jak najdalej od siebie, staliśmy się jeszcze bliższymi przyjaciółmi.

Pastor wrócił z Hornby późnym wieczorem. Zaczął wymieniać różnych członków swojej wspólnoty i wyrażać niezadowolenie ze swej posługi; tak przynajmniej wynikało z fragmentów jego relacji przeplatanych odczuciami.

— W ogóle nie widuję mężczyzn; są zajęci swoimi interesami, sklepikami i magazynami. A powinni przyjść do kościoła. Nie chcę ich krytykować, ale jeśli nauki i napomnienia pastora mają odnieść skutek, muszą dotrzeć do uszu zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

— To może poszedłbyś do nich przypomnieć im o ich chrześcijańskich przywilejach i obowiązkach? — zasugerowała kuzynka Holman, najwyraźniej przekonana o słuszności słów jej męża.

— Nie! — odparł, kręcąc głową. — Osądzam ich według własnej miary. Gdybym w pochmurny dzień układał siano, aby załadować je na wóz,

bo w nocy ma spaść deszcz, a brat Robinson przyszedłby na pole rozprawiać na poważne tematy, to też bym nań krzywo patrzył.

— Ale jak by nie patrzeć, wielebny, przynajmniej masz posłuch wśród kobiet. Może powtarzają twoje słowa swoim mężom i dzieciom?

— Oby tak było, skoro sam nie mogę przemówić do ich mężów. Jednak kobiety zwykle spóźniają się do kościoła, strojąc się uprzednio we wstążki i inne fatałaszkę, jakby moich słów nie dało się słuchać inaczej niż w eleganckich ubiorach. Pani Dobson dzisiaj... Phillis, jak to dobrze, że ty nie przywiązujesz wagi do ubioru!

Lekko zarumieniona kuzynka odparła cichym, skromnym tonem: — Mylisz się, ojczy, niestety. Często marzę o tym, by móc nosić wokół szyi takie piękne, kolorowe wstążki jak córki dziedzica.

— To przecież naturalne, wielebny! — wtrąciła jego żona. — Ja także wolałabym nosić jedwabne suknie zamiast bawełnianych!

— Umiłowanie stroju to pokusa i pułapka — rzekł poważnie. — Prawdziwą ozdobą jest pokora i spokój ducha. A skoro już o tym mowa, żono — dodał na myśl, która właśnie przyszła mu do głowy — to i ja nie jestem bez grzechu. Chciałbym cię prosić, żebyśmy dzisiaj, zamiast w naszej sypialni, spali w szarej komnacie.

— W szarej komnacie? Chcesz się tam przenieść o tej porze? — spytała zaniepokojona kuzynka Holman.

— Owszem — odparł. — To mnie uchroni od codziennej pokusy gniewu. Spójrz na mój podbródek! — dodał. — Zaciąłem się dziś rano... i w środek przy goleniu. Nie pamiętam zresztą, ile razy ostatnio się zaciąłem, a wszystko ze złości, która mną targa, kiedy patrzę na Timothy'ego Coopera przy pracy w ogrodzie.

— To skończony nierób i cham! — zauważyła kuzynka Holman. — Nie zasługuje na zapłatę. Nie potrafi prawie nic, a za co by się nie wziął, wszystko spartaczy.

— Właśnie — odparł pastor. — Jest po prostu, że się tak wyrażę, zwyczajnym półgłówkiem, a do tego jeszcze ma żonę i dzieci.

— Tym bardziej powinien się wstydzić!

— Niestety, on się już nie zmieni. Jeśli go zwolnię, nikt go nie zatrudni. Lecz każdego ranka mimo woli patrzę, jak snuje się po podwórzu, zamiast

wziąć się do roboty. Patrzę i patrzę na tego darmozjada, póki nie odezwie się we mnie pierwotny gniew praojca Adama. Obawiam się, że któregoś dnia wyjdę i przegonię go na cztery wiatry... i pomyśleć, że przez takiego bęcwała co rusz zacinam się przy goleniu... Ale wtedy jego żona i dzieci zagłodzą się na śmierć. Chodźmy już lepiej do szarej komnaty.

Tyle z grubsza pamiętam z mojej pierwszej wizyty na farmie Hope. Wybraliśmy się do kaplicy w Heathbridge, powoli i dostojnie przemierzając rdzawopłowe od barw jesieni zaułki. Pastor kroczył przed nami z rękoma założonymi z tyłu i zwieszoną głową. Kuzynka Holman twierdziła, że pastor rozmyśla nad kazaniem, które ma wygłosić swoim wiernym, dlatego ściszyliśmy głosy niemal do szeptu, by go nie rozpraszać. Mimowolnie zauważyłem jednak, że wielu ludzi, zarówno bogatych, jak i biednych, z szacunkiem witało go po drodze, a on odpowiadał na ich pozdrowienia jedynie przyjaznym skinieniem dłoni. Kiedy zbliżaliśmy się do miasteczka, widziałem, jak napotkani po drodze młodzi chłopcy zerkali z podziwem na Phillis, więc i mój wzrok powędrował w jej stronę. Miała na sobie białą sukienkę i krótką, czarną pelerynkę z jedwabiu, bo taka panowała wówczas moda, a na głowie słomiany kapelusik zawiązywany na brązowe wstążki; poza tym nic szczególnego. Żywość koloru, której brakowało jej sukience, była za to widoczna na jej ślicznej, szczupłej twarzy. Spacer sprawił, że policzki Phillis zaczerwieniły się jak dwie rozkwitłe róże, białka oczu przybrały niebieskawy odcień, a ciemne rzęsy jeszcze bardziej podkreślały błękit jej tęczówek. Złociste włosy były zaczesane tak gładko, na ile dały się rozprostować jej naturalne loki. Nawet jeśli Phillis nie dostrzegała podziwu, jaki wzbudzała swym wyglądem, to kuzynka Holman z pewnością tak, gdyż na jej zazwyczaj spokojnej twarzy malowały się duma i zawziętość. Strzegła swojego skarbu, ciesząc się zarazem, że inni go dostrzegają. Tego popołudnia musiałem wracać do Eltham, by następnego dnia zjawić się w pracy. Później dowiedziałem się, że pastor i jego rodzina doświadczyli „wewnętrznego rozdarcia”; nie byli pewni, czy postąpili właściwie, zapraszając mnie na kolejne wizyty na farmę Hope, skoro w niedzielę i tak obowiązki wzywały mnie do Eltham. Mimo to ponawiali zaproszenia, a ja w miarę możliwości z nich korzystałem, zaś pan Holdsworth okazywał mi w tym przypadku sporo

przyjacielskiej sympatii i pobłażliwości. Ja także, mimo wizyt u mojej nowo poznanej rodziny, zachowałem poważanie i podziw dla swojego zwierzchnika. Z radością mogę stwierdzić, iż w moim sercu było miejsce dla wszystkich, i z tego, co pamiętam, zawsze wychwalałem jednych przed drugimi, lecz gdybym wówczas był starszy i bardziej doświadczony życiowo, pewnie uznałbym takie zachowanie za nierozsądne, a wręcz niedorzeczne. Z pewnością było to nierozsądne, bo gdyby ci wszyscy ludzie mieli okazję poznać się nawzajem, to nie obyłoby się bez rozczarowań. Być może było to niedorzeczne, ale wtedy nikt z nas nawet o tym nie myślał. Pastor, pełen życzliwości i dobrych intencji, ze szczerym zaciekawieniem słuchał moich opowieści o licznych sukcesach i podróżach pana Holdswortha; ten z kolei lubił słuchać relacji z moich odwiedzin na farmie i nowinek z życia mojego kuzynostwa — lubił je, gdyż miał upodobanie do czysto narracyjnych opisów pozbawionych jakiegokolwiek akcji.

Tamtej jesieni jeździłem na farmę średnio raz w miesiącu; życie płynęło tam tak cicho i spokojnie, że w pamięci zachowałem tylko jedno małe zdarzenie, któremu, zdaje się, poświęciłem więcej uwagi niż inni: Phillis przestała nosić swój dziecięcy fartuszek, który zawsze uważałem za wyjątkowo ohydny; nie wiem, z jakiego powodu z nich zrezygnowała, ale podczas którejś z wizyt zauważyłem, że zamiast fartuszek Phillis rano ładne, płócienne okrycie, a popołudniami czarne z jedwabiu. Wraz z nadejściem zimy niebieską suknię z bawełny zastąpiła brązowa: zupełnie jak w książce, którą kiedyś czytałem, gdzie przenosiny z niebieskiego łóżka do brązowego stały się wielkim rodzinnym wydarzeniem.

Przed Bożym Narodzeniem przyjechał do mnie w odwiedzin my kochany ojciec, a przy okazji miał też omówić z panem Holdsworthem wynalazek, zwany od tamtej pory „kołem pędnym Manninga”. Pan Holdsworth, jak już zapewne wspomniałem, darzył mojego ojca ogromnym szacunkiem. Ojciec był zatrudniony w tym samym wielkim warsztacie mechanicznym, w którym pan Holdsworth odbywał praktykę. Obaj nie raz żartowali sobie z pewnego elegancika, który zabierał się do kucia stali w białych irchowych rękawiczkach, żeby nie zniszczyć sobie dłoni. Pan Holdsworth często mówił, że swoim geniuszem i pomysłowością w dziedzinie mechaniki mój ojciec dorównywał George’owi

Stephensonowi. Tak więc ojciec odwiedził pana Holdswortha, by porozmawiać o nowych wynalazkach i złożyć mu ofertę współpracy. Ogromnie miło było patrzeć, jakim szacunkiem darzą się nawzajem ci dwaj mężczyźni: pan Holdsworth, młody, przystojny, błyskotliwy, dobrze ubrany, obiekt podziwu całej młodzieży w Eltham, i mój ojciec, w przyzwoitym, aczkolwiek niemodnym niedzielnym ubraniu, o mądrej, prostolinijnej twarzy porytej głębokimi zmarszczkami, oznakami ciężkiej pracy i zadumy; o dłoniach szerniałych po latach pracy w odlewni do tego stopnia, że nie dało się ich domyć wodą z mydłem. Ojciec mówił z ciężkim północnym akcentem, zaś pan Holdsworth, podobnie jak wielu południowców, miał tendencję do lekkiego przeciągania samogłosek, co w Eltham uważano za pretensjonalne.

Mimo że mój ojciec większość wolnego czasu poświęcał rozmowom o interesach, o których wyżej wspomniałem, uznał, że nie wolno mu wyjechać z Eltham, nie złożonywszy uprzednio uszanowania krewnym, którzy okazali jego synowi tyle serca. Tak więc wsiedliśmy obaj do lokomotywy, która zabrała nas niedokończoną linią do samego Heathbridge, i skorzystaliśmy z zaproszenia, by spędzić dzień na farmie pastora.

Czułem się dziwnie, a zarazem przyjemnie, patrząc, jak dwaj mężczyźni, którzy wiedli diametralnie różne życie, popatrzyli sobie nawzajem prosto w oczy i instynktownie się polubili: mój ojciec, szczupły i muskularny, miał jakieś metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, z kolei pastor, mężczyzna barczysty o smagłej twarzy, był o dziesięć centymetrów od niego wyższy. Ogólnie rzecz biorąc, żaden z nich nie był zbytnio gadatliwy — jeśli już, to raczej pastor — a mimo to prowadzili długie rozmowy. Ojciec poszedł z pastorem na pole; po dziś dzień wręcz zachowałem go w pamięci, jak kroczy z rękami założonymi z tyłu, słuchając uważnie wywodów pastora na temat upraw i różnych metod rolnictwa, jak od czasu do czasu niby bezwiednie sięga po jakieś narzędzie i ogląda je swym krytycznym okiem, niekiedy zadając pytanie, które jego towarzysz najwyraźniej uznawał za trafne. Następnie poszliśmy obejrzeć bydło, zamknięte w oborze przed nadciągającą śnieżycą, którą zwiastowały nisko zawieszane na zachodzie chmury, a mój ojciec chłonał każdy

szczegół na temat charakterystycznych cech bydła z taką uwagą, jakby sam zamierzał zostać farmerem. W kieszeni nosił notesik, w którym zapisywał pomiary i inne notatki techniczne. Wyjął go i pod hasłem „krowa” wynotował sobie takie cechy jak prosty grzbiet, mały pysk, szeroki tułów i inne, o których nie mam pojęcia. Bardzo krytycznie wyraził się o maszynie do cięcia warzyw, której nieporęczność skłoniła go do wyłożenia własnego zdania, a kiedy wróciliśmy do domu, usiadł w milczeniu, zamyślony, podczas gdy Phillis z matką czyniły ostatnie przygotowania do podwieczorku. Kuzynka Holman przeproszała, że nie zasiedliśmy w bardziej eleganckim pokoju, gdyż w tak zimny wieczór mogło tam być trochę chłodno, ale mało kto zwrócił uwagę na jej słowa. Nie pragnąłem niczego więcej prócz trzasku buzującego w palenisku ognia, którego ciepło niosło się po całym domu, ogrzewając śnieżnobiałe płyty pod naszymi stopami, aż zdawały się cieplejsze niż szkarłatny dywanik przy kominku. Po podwieczorku, kiedy wesoło gawędziliśmy sobie z Phillis, usłyszałem nieposkromiony krzyk kuzynki Holman:

— Cóż ten człowiek wyprawia?!

Obejrzawszy się, zobaczyłem, jak ojciec wyjmując z ognia prosty, rozżarzony patyk i trzyma go przez chwilę w dłoni, czekając, aż jego koniec będzie dość zwęglony, by móc odpowiednio go wykorzystać. Następnie podszedł do drewnianej komody, lśniącej nieskazitelną bielą i wypucowanej na wysoki połysk, i zaczął rysować po niej zwęgloną końcówką patyka. Była to najlepsza namiastka kredy czy węgla, jaką miał pod ręką, gdyż ołówek, który nosił w kieszeni razem z notesikiem, okazał się zbyt tępy i twardy. Kiedy rysunek był już skończony, ojciec zaczął objaśniać swój nowy model maszyny do cięcia warzyw pastorowi, który przez cały czas obserwował go w milczeniu. Kuzynka Holman tymczasem wyjęła z szuflady ścierkę do kurzu i udając zainteresowanie rysunkiem, dyskretnie próbowała zetrzeć jego fragment z nadzieją, że komoda odzyska dawną biel. Wówczas poproszono Phillis, by przyniosła podręcznik do mechaniki, ten sam, który pastor pokazywał mi podczas mojej pierwszej wizyty. Mój ojciec zaczął tłumaczyć wiele trudnych zagadnień, używając przy tym języka prostego jak jego umysł, w razie potrzeby ilustrując wszystko rysunkami. Pastor słuchał z ciężką głową podpartą rękami, jakby

nieświadom obecności Phillis, która stała nad nim głęboko zasłuchana, wsparta dłonią na jego ramieniu, chciwie chłonąc wiedzę jak na córkę pastora przystało. Było mi trochę żal kuzynki Holman, nie pierwszy raz zresztą, bo mimo usilnych starań za nic nie mogła zrozumieć, że dążenie do wiedzy daje jej mężowi i córce tyle rozkoszy, tym bardziej że dążenie to było jej całkiem obce, toteż z przyczyn obiektywnych została wypchnięta poza krąg niektórych ich zainteresowań. Parę razy zdarzyło mi się pomyśleć, że kuzynka Holman jest chyba troszkę zazdrosna o własną córkę, która okazała się ciekawszą towarzyszką do rozmowy z pastorem niż ona sama. Odniosłem też wrażenie, że pastor jest świadomy odczuć swojej żony; nie omieszkałem bowiem zauważyć, że niekiedy nagle zmieniał temat, zwracając się do małżonki łagodnym tonem, który sprawiał, iż odzyskiwała pogodę ducha i spokój. Myślę, że Phillis nie zauważyła nawet tych drobnych cieni; po pierwsze, darzyła rodziców bezwzględny szacunkiem, słuchając ich każdego słowa jak ewangelii, a po drugie, zawsze pracowała nad jakąś robótką, zbyt zajęta, aby oceniać zachowanie czy wygląd innych.

Tego wieczoru zauważyłem też, że Phillis zaimponowała także mojemu ojcu, chociaż ona sama na to nie zważała. Pytania, które mu zadawała, świadczyły o tym, że pilnie słucha jego objaśnień. Niewykluczone, że jej niezwykła uroda również wywarła na nim dobre wrażenie; kiedy Phillis wyszła z pokoju, mój ojciec otwarcie wyraził przed państwem Holman swój podziw dla ich córki. Od tamtego wieczoru datuję początek jednego z projektów ojca, o którym dowiedziałem się parę dni później, kiedy siedzieliśmy w moim pokoiku w Eltham.

— Paul — zaczął ojciec — nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek stanę się człowiekiem zamożnym, ale zdaje się, że mnie to czeka. Pewni ludzie chcą ubić ze mną interes na mojej nowej maszynie — (tu podał jej techniczną nazwę) — a Ellison z zakładów w Borough Green posunął się nawet do tego, by zaproponować mi partnerską współpracę.

— Sam pan Ellison? Ten z King Street? Rety, on jeździ swoim własnym powozem! — zauważyłem uradowany, aczkolwiek z powątpiewaniem.

— Tak, synu, John Ellison. Nie oznacza to jeszcze, że i ja powinienem mieć swój powóz, choć chętnie zaoszczędziłbym matce chodzenia,

bo nie jest już taka młoda. Ale to jeszcze daleka przyszłość. Na początek wystarczy mi chyba jedna trzecia zysków, czyli około siedmiuset funtów, a może więcej. Chciałbym też mieć prawo do wdrażania swoich pomysłów. Zależy mi na tym bardziej niż na pieniądzu. Poza tym Ellison nie ma synów, więc siłą rzeczy z czasem cały ten interes przejdzie na ciebie. Córki Ellisona to jeszcze podlotki, do małżeństwa im daleko, a jeśli nawet przyjdzie czas na mężów, to oni niekoniecznie zostaną w branży technicznej. To będzie dla ciebie szansa, chłopcze, jeśli tylko okażesz się solidny. Wiem, że niezbyt dobry z ciebie wynalazca, ale wielu takim, co nie podążają za mrzonkami, wiedzie się lepiej. Niezmiernie się cieszę, że kuzynostwo matki to wyjątkowi ludzie o zdrowym rozsądku i dobrym sercu. Pokochałem wielebnego jak brata, a jego żona to skromna kobieta. I szczerze mówiąc, Paul, szczęśliwym będzie dla mnie dzień, w którym przyjdiesz mi oznajmić, że będę miał Phillis Holman za swoją synową. Gdyby nawet ta dziewczyna nie posiadała majątku, to przyczyniłaby się do twojego sukcesu, ale dostanie w spadku dom i ziemię, i jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, będziesz dla niej odpowiednią partią także pod względem majątkowym.

Poczerwieniłem jak burak; zabrakło mi słów, chociaż bardzo chciałem coś powiedzieć. Myśl o tym, że kiedyś i mnie przyjdzie się ożenić, nie raz chodziła mi po głowie, ale w ustach mego ojca zabrzmiała dziwnie. Widząc moje zmieszanie, uśmiechnął się lekko i rzekł:

— No, chłopcze, cóż myślisz o zamysłach swojego starego ojca? Rzecz jasna, jesteś jeszcze młody, ale ja w twoim wieku chętnie stanąłbym na ślubnym kobiercu, gdyby tylko było mi dane ożenić się z mą wybranką...

— Mówisz o mojej matce? — spytałem, zaskoczony nieco jego zmienionym tonem głosu.

— Nie! Nie o nią mi chodzi. Twoja matka to naprawdę dobra kobieta... nie ma lepszej od niej. Ale nie! W wieku dziewiętnastu lat zakochałem się w pewnej dziewczynie, która nigdy nie dowiedziała się o moim uczuciu do niej, bo zmarła jakiś rok później. Myślę, że gdyby wiedziała, byłaby szczęśliwa. Biedna Molly. Musiałem wyjechać z naszego rodzinnego miasta za chlebem. Chciałem wrócić, lecz nim zdążyłem, jej już nie było. Nigdy więcej tam nie pojechałem. Jeśli podoba ci się Phillis Holman

i zdołasz sprawić, że ona także cię pokocha, mój chłopcze, twoje sprawy sercowe ułożą się inaczej niż twojemu ojcu, Paul.

Natychmiast przemyślałem to sobie i doszedłem do oczywistego wniosku.

— Ojcie — rzekłem — gdybym nawet zakochał się w Phillis, to ona nigdy nie odwzajemni moich uczuć. Traktuję ją jak siostrę, a ona mnie jak brata... w dodatku młodszego.

Zauważyłem, że ojciec spochmurniał nieco. Dodałem:

— Sam widzisz, że Phillis dorównuje inteligencją niejednemu mężczyźnie... Zna łacinę i grekę.

— Łacina i greka pójdą w zapomnienie, jak tylko w domu pojawią się dzieci — padła odpowiedź ojca.

— Jej wiedza wykracza dużo dalej. Phillis jest nie tylko mądra, ale i wykształcona; spędza sporo czasu ze swoim ojcem. Nie będzie mnie poważać, a przecież żona powinna darzyć męża dużym poważaniem.

— Wykształcenie czy też zamiłowanie do wiedzy to nie jedyny powód, dla którego żona powinna szanować męża — odparł ojciec, najwyraźniej nieskory do zaniechania pomysłu, który zdążył głęboko zakorzenić się w jego głowie. — Chodzi o coś więcej, choć nie bardzo potrafię to wyrazić... Mąż ma być męski, rozsądny i prostolinijny; po mojemu taki właśnie jesteś, mój chłopcze.

— Poza tym nie chciałbym chyba, żeby moja żona przewyższała mnie wzrostem, ojcie — dodałem z uśmiechem.

Ojciec także się uśmiechnął, choć niezbyt serdecznie.

— No cóż — odezwał się po chwili. — Rozmyślałem nad tym dopiero od paru dni, ale mój plan przypadł mi do gustu tak bardzo, jakby to był nowy wynalazek, nad którym jakiś czas pracuję. Myślę sobie, jaki to dobry, rozumny chłopak z tego naszego Paula; nigdy nie sprawiał kłopotów matce ani mnie, nie naraził się na nasz gniew; dziesiętnastolatek z perspektywami na własny biznes, niebrzydki, choć trudno go nazwać przystojnym. Poznaje kuzynkę, wprowadzie daleką, ale rzecz można, bardzo sympatyczną, która ma siedemnaście lat, jest dobra, uczciwa i nauczona pracować zarówno rękoma, jak i umysłem; intelektualistka, ale mówi się trudno; więcej w tym pecha aniżeli winy, zważywszy, że jest córką intelektualisty, w dodatku

jedynaczką. Zresztą jak już mówiłem, gdy tylko wyjdzie za mąż, to daję głowę, że nauka pójdzie w zapomnienie. Ponadto odziedziczy majątek w postaci domu i ziemi, kiedy Bóg uzna za stosowne powołać jej rodziców do siebie. Prócz tego oczy ma równie piękne jak biedna Molly, i mlecznobiałą skórę, która raz po raz oblewa się pąsem, a usta tak kształtne...

— O jakiej to urodziwej damie pan tak rozprawia, panie Manning? — spytał pan Holdsworth, który niespodziewanie wszedłszy do pokoju, zastał nas zajętych rozmową i wyłowił uchem ostatnie słowa ojca.

Obaj speszyliśmy się nieco, bo temat naszej rozmowy był raczej nietypowy, ale mój ojciec w swej prostocie i otwartości postanowił powiedzieć prawdę.

— Mówiłem właśnie Paulowi o propozycji Ellisona, przekonując, że to dla niego dobry początek kariery...

— Sam chętnie skorzystałbym z takiej okazji — wtrącił pan Holdsworth. — Ale czy o karierze rzecz można, iż ma kształtne usta?

— Pana to zawsze się żarty trzymają, panie Holdsworth — odrzekł ojciec. — Miałem właśnie dodać, że jeśli mój syn i jego kuzynka Phillis Holman przypadną sobie do gustu, to bynajmniej nie stanę im na przeszkodzie.

— Phillis Holman! — wykrzyknął pan Holdsworth. — Czy przypadkiem nie jest córką tego pastora i farmera z Heathbridge? Czyżbym pozwalając ci często wyjeżdżać na wieś do rodziny, przyczyniał się do rozkwitu czystej miłości? Nie miałem pojęcia.

— To nic wielkiego — odezwałem się, okazując swoje zdenerwowanie bardziej, niż zamierzałem. — Ta miłość nie różni się od tej, która łączy każde rodzeństwo. Mówiłem właśnie ojcu, że nie miałbym u Phillis żadnych szans. Jest o wiele wyższa i mądrzejsza ode mnie. Bo kiedy już się ożenię, wołałbym być wyższy i bardziej uczony od mojej małżonki.

— Czy to zatem jej usta miał na myśli twój ojciec, twierdząc, że są kształtne? Myślałbym, że uroda jest zaprzeczeniem inteligencji i wykształcenia. W każdym razie winien jestem przeprosiny za to, że przeszkadzam w ten ostatni wspólny wieczór, ale mam sprawę do twojego ojca...

Zaczęli rozmawiać o rzeczach, które jeszcze wtedy nie budziły mego zainteresowania. Wróciłem w głowie do rozmowy z ojcem. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że powiedziałem prawdę o swoich uczuciach względem Phillis Holman. Kochałem ją tak bardzo jak siostrę, lecz nie potrafiłem wyobrazić jej sobie jako mojej żony. Tym trudniej mi było uwierzyć, że łaskawie — tak, to właściwe słowo — raczyłyby za nie wyjść. Z rozmyślań nad cechami przyszłej żony wyrwał mnie głos ojca, który gorąco wychwalał pastora jako bardzo niezwykłą osobowość; jak to się stało, że ich rozmowa o średnicy koła pędnego zeszła na temat rodziny Holmanów, nie bardzo mogłem zrozumieć, zauważyłem jednak, że wzniosłe pochwały płynące z ust ojca budziły ciekawość pana Holdswortha, zaś kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiał niemal wyrzut:

— No, Paul, nigdy mi nie mówiłeś, jaki to kompan z tego waszego kuzyna-pastora!

— Chyba sam nie zdążyłem jeszcze go poznać, proszę pana — odparłem. — A gdyby nawet, to i tak nie wysłuchałby mnie pan tak uważnie jak mojego ojca.

— Rzeczywiście! Chyba masz rację, stary przyjacielu — odrzekł pan Holdsworth, śmiejąc się.

I znów dostrzegłem, jak przystojną, miłą i pogodną ma twarz. I choć tego wieczoru czułem doń pewną urazę — po tym, jak wszedł nagle do pokoju i podsłuchał szczere wyznanie mojego ojca — mój bohater natychmiast powrócił na swój piedestał, rozbijając mnie swym ciepłym, serdecznym śmiechem.

Gdyby nie powrócił na piedestał tamtego wieczoru, to zrobiłby to nazajutrz, kiedy po wyjeździe ojca zaczął mówić o nim z takim szacunkiem dla jego osoby i niekłamany podziwem dla jego wielkiego geniuszu myśli technicznej, że zgoła mimowolnie zmuszony byłem odpowiedzieć:

— Dziękuję, sir. Jestem panu niezmiernie zobowiązany.

— Ależ nie. Mówię tylko prawdę. Robotnik z Birmingham, można by rzec, samouk, bez żadnych kontaktów z inspirującymi umysłami czy doświadczeń płynących z podróży po świecie, wciela swe pomysły

w życie za pomocą żelaza i stali, zyskując sławę jako świetny naukowiec — oraz fortunę, jeśli tylko zechce pracować za pieniądze, zachowując zarazem nieskazitelną prostotę serca; złość mnie bierze, kiedy myślę sobie, że skończyłem kosztowne studia, odbyłem wiele dalekich podróży, przeczytałem sterty naukowych ksiąg, a w gruncie rzeczy nie osiągnąłem nic. Najwyraźniej to kwestia szlachetnej krwi, która zapewne płynie także w żyłach tego waszego kuzyna Holmana.

— Jest naszym kuzynem tylko dlatego, że ożenił się z daleką kuzynką mojej matki — wyjaśniłem.

— Czyli cała moja teoria bierze w łeb, i to podwójnie. Chciałbym poznać tego Holmana.

— Z pewnością chętnie ugoszczą pana na swojej farmie — odparłem przejęty. — Prawdę mówiąc, wiele razy zapraszali nas razem, ale sądziłem, że pana to znudzi.

— W żadnym wypadku. Póki co jednak mimo oficjalnego zaproszenia nie mogę jechać, bo spółka wysyła mnie do doliny, żebym obejrzał grunt, czy się nadaje pod budowę lokalnej linii kolejowej. Będę więc trochę w rozjazdach, a ty pod moją nieobecność rób, co do ciebie należy. Jedyne zadanie, być może wykraczające poza twoje możliwości, to dopilnować, żeby stary Jevons nie dorwał się do gorzałki...

Następnie udzielił mi wskazówek, jak zarządzać robotnikami przy budowie torów, i od tamtej pory przez kilka miesięcy nie rozmawialiśmy już o jego wizycie na farmie Hope.

Wyjechał do „doliny”, głębokiej, cienistej niecki, gdzie nawet w letnie popołudnie słońce zdawało się zachodzić za wzgórze już przed godziną czwartą. Być może z tego właśnie powodu krótko po Nowym Roku nabawił się febry; leżał ciężko chory przez wiele tygodni, a jego zamężna siostra — zdaje się, jedyna krewna — przyjechała z Londynu, żeby się nim opiekować. Chodziłem do niego, gdy tylko mogłem, przekazywałem mu, jak to nazywał, „męskie nowiny”, czyli relacje z prac przy budowie torów, którą, z przyjemnością muszę przyznać, pomyślnie nadzorowałem podczas jego nieobecności, a moje powolne i stopniowe działania bardzo odpowiadały spółce; choć same interesy szły opieszale, a zapotrzebowanie na pieniądź rosło. Rzecz jasna, zajęty pracą, czasu wolnego miałem

niewiele, rzadziej więc jeździłem na farmę Hope, lecz gdy już udało mi się tam pojechać, byłem bardzo serdecznie witany i wypytywany o stan zdrowia pana Holdswortha.

Wreszcie, bodajże w czerwcu, pan Holdsworth wydobrał na tyle, by móc wrócić do Eltham i przejąć przynajmniej część swoich obowiązków. Jego siostra, pani Robinson, musiała wyjechać kilka tygodni wcześniej z powodu jakiejś epidemii, która dotknęła jej własne dzieci. Odwiedzając jeszcze chorego pana Holdswortha w małym domku w Hensley, nie byłem świadom oczywistych szkód, jakich dokonała w nim febra. Dopiero kiedy wrócił do swego mieszkania, gdzie przedtem zawsze widywałem go pogodnym, rozmownym, stanowczym i pełnym energii, serce mi zamarło na widok odmienionego człowieka, którego darzyłem tak wielką sympatią i podziwem. Po najmniejszym wysiłku zapadał w milczenie i przygnębienie; zdawało się, że nie jest w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji, a kiedy już coś postanowił, brakło mu sił, by zrealizować swój zamiar. Rzecz jasna, przy powolnej rekonwalescencji po tak ciężkiej chorobie było to całkiem naturalne, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, a jego stan opisałem moim drogim krewnym z farmy Hope jako dużo poważniejszy, niż był w rzeczywistości. Z należną powagą, prostotą i troską kuzynostwo natychmiast zaproponowało jedyną pomoc, na jaką było ich stać.

— Przywieź go tutaj — powiedział pastor. — Powietrze, jak to mówią, mamy dobre, a czerwcowe dni są piękne; mógłby pospacerować sobie po łące, a słodkie zapachy same w sobie działają leczniczo, lepiej niż medycyna.

— I powiedz mu też — wtrąciła kuzynka Holman, nie mogąc się doczekać, aż jej mąż skończy zdanie — że są tu świeże mleko i jajka; wystarczy tylko poprosić. Mamy szczęście, że Daisy właśnie się ocieliła; jej mleko zawsze smakuje tak pysznie jak śmietana innych krów. Mamy też pokój zdobiony w kratkę, rozświetlony porannym słońcem.

Phillis się nie odzywała, lecz sprawiała wrażenie równie zainteresowanej tematem jak inni. Tak więc podjąłem decyzję. Zależało mi, żeby Holmanowie i pan Holdsworth nawzajem się poznali. Po powrocie z farmy przekazałem mu zaproszenie od kuzynostwa. Zbyt zmęczony

po całodzienniej pracy, by podjąć nawet nieznaczny wysiłek, jaki się wiązał z wizytą u obcych, ku mojemu rozczarowaniu był bliski odrzucenia zaproszenia. Jednak następnego ranka wszystko się odmieniło: pan Holdsworth przeprosił za swoją nieuprzejmość i poinformował, że rozpocznie przygotowania, aby w najbliższą sobotę udać się ze mną na farmę Hope.

— Będziesz musiał mi towarzyszyć, Manning — powiedział. — Jeszcze do niedawna był ze mnie niezły kozak, jak na mężczyznę przystało, lubiłem bywać wśród obcych i się wyróżniać, ale od czasu choroby zachowuję się poniekąd jak dziewczyna; rumienię się z nieśmiałości jak każda z nich.

Tak więc decyzja zapadła. Postanowiliśmy wyjechać na wieś w sobotę po południu. Umówiliśmy się, że jeśli wiejski klimat i styl życia przypadną panu Holdsworthowi do gustu, to zostanie tam na tydzień lub dłużej i będzie nadzorował prace przy budowie tamtejszej linii kolejowej, a ja w miarę swoich możliwości postaram się zastąpić go w Eltham.

Im bliżej było do wyjazdu, tym bardziej się niepokoiłem, zastanawiając się, czy taki światowy człowiek jak Holdsworth dogada się ze spokojną, osobliwą rodziną pastora, czy Holmanowie go polubią i zaakceptują jego na wpół obce maniere. Starłem się go przygotować, opowiadając mu trochę o zwyczajach panujących na farmie Hope.

— Widzę, Manning — powiedział — że się obawiasz, iż nawet w połowie nie jestem tak szlachetny jak ci twoi przyjaciele. Mów, w czym rzecz, chłopcze.

— Ależ nie — odparłem śmiało. — Jest pan bardzo szlachetny. Nie wiem tylko, czy szlachetność Holmanów jest tej samej natury co pańska.

— Uznałeś zatem, że bardziej możliwa jest rozbieżność pomiędzy tymi dwiema „szlachetnościami”, z której każda opiera się na swojej własnej idei dobra, aniżeli pomiędzy dobrem a pewną krnąbrnością, która wynika z obojętności względem dobra?

— Sam nie wiem. Zdaje się, że wkracza pan w sferę metafizyki, co z pewnością jest dla pana niezdrowe.

— „Kiedy ktoś opowiada ci niepojęte rzeczy, sam ich nie rozumiejąc, wówczas mówimy o metafizyce”. Nie pamiętasz definicji błazna, Manning?

— Nie — odparłem. — Ale jedno jest jasne: że powinien pan się położyć. I proszę mi powiedzieć, o której jutro wyjeżdżamy, żebym zdążył pojechać do Hepworth oraz napisać listy, o których rozmawialiśmy dzisiaj rano...

— Zaczekajmy do jutra i zobaczymy, jaki czeka nas dzień — odparł powoli mało stanowczym tonem, dając mi do zrozumienia, że jest przemęczony.

Poszedłem więc w swoją stronę.

Nazajutrz dzień był jasny, słoneczny i piękny; idealny początek lata. Pan Holdsworth z niecierpliwością wyczekiwał wyjazdu na wieś; raniem wróciły mu siły i energia, a co za tym idzie, zapał do pracy. Obawiałem się, że dojedziemy na farmę za wcześnie, przed godziną, o której się nas spodziewano, ale cóż miałem robić, skoro pan Holdsworth był tego ranka tak gwałtowny i niecierpliwy? Zajechaliśmy na farmę Hope, zanim rosa zdążyła odparować na trawie po zacienionej stronie drogi; wielki, stróżujący pies, spuszczonej ze smyczy, wygrzewał się w słońcu przy zamkniętych bocznych drzwiach. Zdziwiłem się, że są zamknięte, bo zwykle przez całe lato od rana do wieczora stały otwarte. Wystarczyło jednak tylko nacisnąć klamkę. Kiedy je otworzyłem, Pirat przypatrywał mi się na wpół nieufnym wzrokiem. Sam pokój był pusty.

— Pojęcia nie mam, gdzie się wszyscy podziali — powiedziałem. — Niech pan wejdzie i usiądzie, a ja pójdę ich poszukać. Pewnie jest pan zmęczony.

— Wcale nie. To słodkie, łagodne powietrze krzepi jak tysiąc balsamów. Zresztą tu w pokoju jest gorąco i czuć intensywny zapach popiołu. Co tutaj będziemy robić?

— To pójdziemy do kuchni. Betty nam powie, gdzie są wszyscy.

Wyszliśmy więc na podwórze, gdzie w głębokim poczuciu obowiązku towarzyszył nam Pirat. Betty zmywała właśnie garnki po mleku w spienionej zimnej wodzie źródlanej, nieustannie ściekającej do kamiennego korytka. W taką pogodę większość prac kuchennych wykonywało się na świeżym powietrzu.

— O rety! — jęknęła. — A wielebny z żoną pojechali do Hornby! Nie spodziewali się was tak rychło! Pani Holman ma do załatwienia kilka

spraw, więc też postanowiła towarzyszyć wielebnemu i wróci dopiero przed obiadem.

— Spodziewali się nas chyba na obiad?

— Niby tak, ale niezupełnie, jeśli można tak rzec. Pani Holman mówiła mi, że jeśli nie przyjdziecie, wystarczy zimna jagnięcina, a jeśli przyjdziecie, mam wstawić kurczaka i bekon. Lepiej pójde już do kuchni, bo na przyrządzenie bekonu trzeba sporo czasu.

— Czy Phillis też wyszła z nimi? — Pan Holdsworth zaprzyjaźniał się z Piratem.

— Nie. Gdzieś się tu kręci. Pewnie spotkacie ją w warzywniku, bo zbiera groch.

— To chodźmy tam — powiedział Holdsworth, przerywając naraz zabawę z psem.

Zaprowadziłem go więc do warzywnika, gdzie obfitość warzyw i owoców była pierwszym zwiastunem lata. Może nie dbano o niego tak starannie jak o inne części gospodarstwa, ale był lepiej wypielęgnowany niż warzywniki na innych farmach. Po obu stronach żwirowych ścieżek ciągnęły się rabaty z kwiatami, zaś od północnej strony stał stary ochronny mur przysłonięty drzewami owocowymi specjalnie wyselekcjonowanego gatunku; dalej teren pochylał się w stronę stawu rybnego, gdzie znajdowały się spore grządki truskawek, a każdą pustą połąć wypełniały krzewy malin oraz róż; trudno było stwierdzić, które z nich zasadzono, a które wyrosły tam same. Prostopadle do głównej ścieżki rozciągały się długie rzędy groszku, wśród których dostrzegłem pochyloną Phillis, jeszcze zanim zdążyła nas zobaczyć. Słyszac chrzęst kroków po żwirze, wyprostowała się i przysłoniła dłonią oczy. Rozpoznawszy nas, stała chwilę bez ruchu, a następnie zbliżyła się powoli, zarumieniona lekko, bodajże ze wstydu. Nigdy przedtem nie widziałem jej zawstydzonej.

— To pan Holdsworth, Phillis — oznajmiłem, gdy tylko wymieniliśmy uścisk dłoni.

Zerknęła na niego, po czym spuściła wzrok, rumieniąc się jak nigdy dotąd, kiedy Holdsworth szarmancko i ceremonialnie zdjął kapelusz i się jej uklonił. Na farmie Hope nie znano takich manier.

— Rodziców nie ma w domu. Będzie im przykro. Miałeś do nas napisać, Paul.

— To moja wina — przyznał Holdsworth, który doskonale rozumiał, co Phillis ma na myśli, mimo iż kuzynka była oszczędna w słowach. — Jako rekonwalescent pozwoliłem sobie skorzystać ze swych przywilejów, do których należy brak zdecydowania. Kiedy wczoraj wieczorem kuzyn panienki zapytał mnie, o której wyjeżdżamy, nie byłem w stanie się zdecydować.

Najwyraźniej Phillis też nie bardzo wiedziała, co z nami począć. Spróbowałem jej pomóc...

— Zebrałaś już groch? — Chwyciłem na wpół pełny koszyk, który bezwiednie trzymała w dłoni. — Może zostaniemy, żeby ci pomóc?

— Jeśli tylko zechcecie. Ale czy to pana nie zmęczy? — dodała, patrząc na Holdswortha.

— Ani trochę — odparł. — Przypomina mi się, jak przed dwudziestoma laty zbierałem groch w ogrodzie dziadka. Czy mogę przy okazji trochę zjeść?

— Oczywiście, proszę pana. Ale gdyby zechciał pan pójść na grządki, znalazłby pan parę dojrzałych truskawek. Paul pana zaprowadzi.

— Obawiam się, że panienka mi nie ufa. Zapewniam, iż wiem, kiedy ziarenko grochu jest na tyle dojrzałe, by je zerwać. Będę bardzo uważał, żeby nie zrywać tych niedojrzałych. Nie dam się przepędzić tylko dlatego, że panienka uważa, iż nie nadaję się do tej pracy — powiedział swoim na wpół humorystycznym tonem, do którego Phillis nie przywykła.

Patrzyła przez chwilę, jakby chcąc się tłumaczyć z żartobliwego zarzutu braku zaufania, jaki usłyszała, jednak ostatecznie nie odezwała się ani słowem. Następne kilka minut spędziliśmy w milczeniu, pochłonięci zrywaniem grochu. Wreszcie Holdsworth wyłonił się spomiędzy grządek i powiedział nieco znużonym głosem:

— Niestety, muszę przerwać pracę. Nie jestem jeszcze tak silny, jak mi się zdawało.

Phillis natychmiast tknęło poczucie winy. Holdsworth rzeczywiście wyglądał blado i dziewczyna zaczęła robić sobie wyrzuty o to, że zgodziła się, aby pomagał jej przy pracy.

— Postąpiłam bardzo bezmyślnie. Nie miałam pojęcia... myślałam, że sprawi to panu przyjemność. Powinnam była zaproponować panu coś do jedzenia! Dość już nazbieraliśmy, Paul. Jakże głupia byłam, zapominając, że pan Holdsworth długo chorował!

I spłoszona ze wstydu szybkim krokiem zaprowadziła nas do domu.

Kiedy weszliśmy do środka, wysunęła ciężki, wyściełany fotel, w którym pan Holdsworth rozsiadł się z ogromnym zadowoleniem. Następnie zwinnie i cicho wyszła po małą tackę z winem, wodą, ciastem, chlebem domowej roboty oraz świeżo ubitym masłem. Przystanąła nieco zaniepokojona, aż po kilku kęsach i łykach twarz Holdswortha nabrała kolorów i śmiejąc się, zaczął wylewnie przeproszać za to, że napędził nam tyle strachu. Wówczas kuzynka zaniechała swych niewinnych przejawów troski i baczności, stając się na powrót dawną chłodną i nieśmiałą Phillis, która pierwszy raz znalazła się w towarzystwie obcych. Wyłożyła lokalną gazetę z zeszłego tygodnia (którą to pan Holdsworth już czytał przed pięcioma dniami) i wyszła bez słowa. Po chwili Holdsworth popadł w rozleniwienie, rozsiadł się wygodnie w fotelu i zamknął oczy, jakby szykując się do drzemki. Wymknąłem się za Phillis do kuchni, ale kuzynka zdążyła już wyjść z domu i zniknąć za rogiem. Zastałem ją siedzącą na stołku z koszykiem pełnym strąków grochu oraz miską, do której wrzucała łuski. Pirat leżał u jej stóp, od czasu do czasu klapiąc zębami na muchy. Podszedłem bliżej, żeby jej pomóc, ale młody groszek, słodki i chrupiący, częściej trafiał do mojej buzi niż do koszyka. Rozmawialiśmy przyciszonymi głosami w obawie, że możemy zostać podsłuchani przez otwarte okno pokoju, gdzie odpoczywał Holdsworth.

— Nie uważasz, że jest przystojny? — zapytałem.

— Być może... tak... Nawet mu się nie przyjrzałam — odparła. — A nie wygląda ci na cudzoziemca?

— Rzeczywiście, czesze się jak cudzoziemiec — przyznałem.

— Wolę, kiedy Anglik wygląda jak Anglik.

— On chyba się nad tym nie zastanawia. Twierdzi, że zaczął nosić tę fryzurę we Włoszech, bo tam wszyscy tak się czeszą, więc uznał, że w Anglii też mu to pasuje.

— Nie bardzo, skoro tak się czeszą wszyscy Włosi. Tutaj każdy czesze się inaczej.

Mimo jej logicznych argumentów byłem nieco urażony jej krytykancką postawą wobec mojego przyjaciela, toteż postanowiłem zmienić temat.

— Kiedy wraca twoja mama?

— Byłaby już pewnie w domu, ale pojechała jeszcze odwiedzić panią Morton, którą zmogła choroba. Jeśli się zasiedzi, wróci dopiero na obiad. Nie zajrzałyś do pana Holdswortha, Paul? Może znowu zasłabł.

Poszedłem, jak prosiła, choć nie było takiej potrzeby. Pan Holdsworth już się obudził i stał przy oknie z rękami w kieszeniach, najwyraźniej nas obserwując. Kiedy wszedłem do pokoju, odwrócił się.

— A więc to ta dziewczyna, Paul, którą twój czcigodny ojciec wybrał ci na żonę tamtego wieczoru, kiedy przeszkodziłem wam w rozmowie! Czy nadal jesteś taki niechętny jego zamiarom? Jeszcze przed chwilą nic na to nie wskazywało.

— Phillis i ja się rozumiemy — odparłem niewzruszenie. — Jesteśmy jak rodzeństwo. Nie wyszłaby za mnie, choćbym był jedynym mężczyzną na tym świecie, zaś ja musiałbym się sporo natrudzić, żeby myśleć o niej... jak życzyłby sobie tego mój ojciec — (z jakiegoś powodu wolałem uniknąć słowa „żona”) — ale oboje bardzo się kochamy.

— Cóż, trochę mnie to dziwi... nie ta wasza bratersko-siostrzana miłość, ale to, że twierdzisz, iż nie potrafiłbyś się zakochać, choć to tak piękna kobieta.

kobieta, w dodatku piękna! Uważałem ją za urodziwe dziewczę, aczkolwiek wstydlive; poza tym zawsze, kiedy przywoływałem w pamięci jej obraz, nijak nie mogłem zapomnieć o dzieciennym fartuszk. Powiodłem wzrokiem za spojrzeniem pana Holdswortha i popatrzyłem na nią przez okno: skończywszy łuskanie grochu, stała plecami do nas, trzymając koszyk, w którym spoczywała miska, wysoko w górze, poza zasięgiem Pirata, który dawał upust swej radości, skacząc, ujadając i chwytając zębami za to, co uznał za należną mu nagrodę. Wreszcie zmęczona tą zabawą Phillis zamachnęła się z lekka na psa i zawołała: — Spokój, Pirat! Cicho! — Po czym spojrzała w okno, w którym obaj staliśmy, jakby zaniepokojona, czy ten cały harmider przypadkiem nie zakłócił nikomu

spokoju. Na nasz widok zarumieniona po czubek głowy oddaliła się spieszenie, a Pirat za nią, wijąc się tuż pod jej nogami.

— Chętnie bym ją narysował — oznajmił pan Holdsworth, odwracając się. Usiadł w fotelu i odpoczywał przez chwilę w milczeniu. Następnie znowu się podniósł. — Oddałbym wszystko za jakąś dobrą książkę — powiedział. — Czytanie mnie uspokaja. — Rozejrzał się po pokoju; przy jednym końcu stołu do gry w *shuffleboard* stało kilka woluminów. — Piąty tom Komentarza Matthew Henry’ego — przeczytał na głos. — Pełny poradnik pani domu. Berridge o modlitwie. L’Inferno... Dante! — wykrzyknął wielce zaskoczony. — Rany, kto czytuje takie rzeczy?

— Mówiłem panu, że Phillis. Nie pamięta pan? Ona zna łacinę i grekę.

— Oczywiście! Pamiętam! Tylko jakoś nie pokojarzyłem faktów. A więc to ciche, zapracowane dziewczę jest wybitną uczoną, która zbijała cię z tropu pytaniami podczas twoich pierwszych wizyt na farmie. Rzecz jasna, to przecież kuzynka Phillis! Co my tu mamy: kartkę zapisaną trudnymi, przestarzałymi wyrazami. Jestem ciekaw, z jakiego to słownika. Baretta nie wyjaśni jej tych wszystkich słów. Czeka! Mam tu ołówek. Zapiszę jej ogólnie przyjęte znaczenia, by choć trochę zaoszczędzić jej trudu.

Zabrał więc jej książkę wraz z kartką do małego okrągłego stolika i zajął się zapisywaniem wyjaśnień i definicji słów, które sprawiały jej kłopot. Zastanawiałem się, czy nie pozwala sobie na zbyt wiele: nie bardzo mi się to podobało, nie wiedzieć czemu. Skończywszy, ledwie zdążył włożyć kartkę do książki, a książkę odłożyć na półkę, gdy na dworze zaskrzypiały hamujące na ścieżce koła. Przez okno dostrzegłem kuzynkę Holman wysiadającą z dwukołowego powozu sąsiada. Ukłoniła się lekko z wdzięcznością, po czym ruszyła w stronę domu. Wyszedłem jej na spotkanie.

— Och, Paul! — wykrzyknęła. — Bardzo przepraszam za zwłokę. Thomas Dobson poprosił, abym posiedziała jeszcze kwadransik... Ale gdzie twój przyjaciel, pan Holdsworth? Mam nadzieję, że także przyjechał?

W tym momencie wyszedł Holdsworth, na swój miły, uprzejmy sposób ujął jej dłoń i podziękował za to, że go tutaj zaproszono, aby nabrał sił.

— Naprawdę bardzo się cieszę, że pana widzę. To był pomysł wielebnego. Byłam święcie przekonana, że zanudzi się pan w tym naszym cichym domu, bo Paul opowiadał, jaki z pana wielki podróżnik, ale wielebny stwierdził, że po chorobie przyda się panu trochę spokoju. Miałam też poprosić Paula, żeby jak najczęściej tu z panem przebywał. Mam nadzieję, a wręcz pewność, że będzie panu z nami dobrze. Czy Phillis poczęstowała pana jedzeniem i piciem? Aby nabrać sił po chorobie, trzeba jeść, po trochu, ale często...

I zwyczajnie, po matczynemu, zaczęła wypytywać go o szczegóły jego niedyspozycji. Holdsworthowi od razu udało się nawiązać z nią nic porozumienia i przyjaźni, jednak wieczorem po powrocie pastora atmosfera nieco się zmieniła. Przy pierwszym poznaniu mężczyźni zawsze muszą przełamać pewną wrodzoną niechęć. W tym wypadku obaj panowie byli skłonni dołożyć wszelkich starań, by obdarzyć się nawzajem sympatią, choć każdy z nich był jedyny w swoim rodzaju.

W niedzielne popołudnie musiałem opuścić farmę Hope, gdyż w Eltham czekały mnie obowiązki, zarówno moje własne, jak i pana Holdswortha. Nie miałem pojęcia, jak potoczą się sprawy, kiedy Holdsworth zostanie na wsi sam przez cały tydzień; raz czy dwa znalazłem się w opałach z powodu różnicy zdań między pastorem a moim sławetnym przyjacielem. W środę otrzymałem od Holdswortha krótki liścik; zamierzał przedłużyć swój pobyt na wsi i wrócić ze mną w następną niedzielę. Prosił też, abym przesłał mu kilka książek z listy, teodolit i inne przyrządy pomiarowe, co razem łatwo było przetransportować koleją do Heathbridge. Poszedłem do jego mieszkania i wyszukałem książki: po włosku, po łacinie, z trygonometrii, a kiedy dołożyłem jeszcze przyrządy, zrobił się dość pokaźny pakunek. Zaczynałem być ciekaw ogólnego rozwoju wypadków na farmie Hope, ale z wyjazdem musiałem się wstrzymać aż do soboty.

W Heathbridge ujrzałem Holdswortha, gdy wyszedł mi na spotkanie. Był to zgoła inny człowiek niż tamten, którego przed tygodniem przywiozłem na wieś: opalony, z błyskiem w oczach, w których jeszcze niedawno widać było zmęczenie. Powiedziałem mu, że wygląda na dużo silniejszego.

— Tak! — odparł. — Z niecierpliwością oczekuję powrotu do pracy. W zeszłym tygodniu myśl o obowiązkach zawodowych mnie przerażała: teraz rozpira mnie pragnienie, żeby do nich wrócić. Tydzień na wsi zdziałał we mnie cuda.

— A więc podobało się panu?

— Och! Na swój sposób było wręcz wspaniałe. Prawdziwe wiejskie życie! A zarazem dalekie od nudy, która zawsze kojarzyła mi się z życiem na wsi, a wszystko dzięki niezwykłej inteligencji wielebnego. Ja także zacząłem nazywać go wielebnym jak wszyscy inni.

— A więc jakoś się dogadujecie? — spytałem. — Miałem wszakże pewne wątpliwości.

— Obawiam się, że raz czy dwa był bliski zdenerwowania z powodu moich luźnych spostrzeżeń czy przesadnych emocji, które człowiek zwykle wyraża przy innych, bynajmniej się tym nie przejmując, lecz gdy dostrzegłem oburzenie tego dobrodzieja, starałem się mitygować. Zaiste, to bardzo zdrowy wysiłek, kiedy człowiek musi dobierać słowa, by wyrazić myśli, a nie po to, by wywołać u innych określoną reakcję.

— Czy to znaczy, że się zaprzyjaźniliście? — spytałem.

— Tak, i to bardzo. Przynajmniej w moim odczuciu. Jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka z tak wielkim zamiłowaniem do wiedzy. Swoim odczuciem przewyższa mnie prawie we wszystkich dziedzinach; ja z kolei podróżowałem i sporo widziałem... Czy nie zdziwiłeś się, widząc listę rzeczy, o które prosiłem?

— Owszem. Pomyślałem sobie, że nie zdoła pan przy nich odpocząć.

— Och! Część z tych książek jest dla wielebnego, a część dla jego córki. W myślach nazywam ją Phillis, lecz przy innych używam eufemizmów. Nie chciałbym być zbyt poufały, choć ani razu nie słyszałem, żeby ktoś mówił o niej „panna Holman”.

— Domyśliłem się, że te włoskie książki to dla niej.

— Tak! I pomyśleć, że na pierwszą włoską lekturę wybrała Dantego! Miałem akurat świetną powieść Manzoniego „I promessi sposi”, w sam raz dla początkującej. Ale jeśli nadal chce łamać sobie głowę nad Dantem, to mój słownik jest znacznie lepszy od tego, z którego korzysta.

— A więc dowiedziała się, że to pan wypisał definicje słów na jej kartce?

— O tak! — wykrzyknął z uśmiechem pełnym rozbawienia i satysfakcji. I chciał opowiedzieć mi, jak do tego doszło, ale się powstrzymał.

— Wielebnemu chyba nie spodoba się, że wybiera pan jego córce powieści do czytania?

— Phi! A cóż w tym złego? Po co robić z igły widły? To przecież piękna, niewinna historia jak każda inna. Nie sądzisz chyba, że czytują tu tylko ewangelię?

Doszliśmy wreszcie na farmę. Phillis, zdaje się, przywitała mnie cieplej niż zwykle, zaś kuzynka Holman była chodzącą dobrocią. Mimo to czułem, że straciłem swoją pozycję na rzecz Holdswortha, który zawsze wiedział, jak się zachować, adorował kuzynkę Holman z niemal synowskim oddaniem, kuzynkę Phillis traktował nie inaczej jak młodszą siostrę, okazując jej czułą pobłażliwość i ani odrobinę więcej. Szczerze zaciekawiony wypytywał mnie o to, jak toczą się sprawy w Eltham.

— Ach! — westchnęła kuzynka Holman. — Przyszły tydzień spędzi pan całkiem inaczej niż tutaj! Wyobrażam sobie, ile pracy pana czeka! Ale jeśli nie zadba pan o siebie, to znowu się pan rozchoruje i będzie musiał powrócić do naszego spokojnego życia.

— Sądzi pani, że tylko choroba jest w stanie przywieść mnie tu z powrotem? — odrzekł ciepło. — Obawiam się, że po tak miłej gościnie zawsze będę wracał pod waszą opiekę.

— I słusznie — odparła. — Tylko niech się pan nie rozchoruje z przepracowania. Mam nadzieję, że co rano będzie pan wypijał filiżankę świeżego mleka, bo to bez wątpienia najlepsze lekarstwo. Wedle uznania można dodać też łyżeczkę rumu; wielu chwali sobie taki napitek. Niestety, nie mamy w domu rumu.

Przywiozłem ze sobą aurę aktywności zawodowej, za którą Holdsworth chyba zaczynał już tęsknić i po tygodniu odpoczynku z naturalnych pobudek szukał mojego towarzystwa. Kiedy spacerowaliśmy razem, w którymś momencie zauważyłem, jak Phillis przypatruje się nam tęsknym, zaciekawionym wzrokiem, lecz napotkawszy moje spojrzenie, odwróciła się, głęboko zarumieniona.

Tego wieczoru uciąłem sobie małą pogawędkę z pastorem. Poszedłem spacerem wzdłuż drogi prowadzącej do Hornby, żeby wyjść mu na spotkanie. Holdsworth udzielał właśnie Phillis lekcji włoskiego, a kuzynka Holman zasnęła nad robótką ręczną. Tak się jakoś złożyło, nie wbrew mojej woli zresztą, że nasza rozmowa zeszła na temat mego przyjaciela, którego przywiozłem na farmę Hope.

— Owszem, lubię go! — rzekł pastor, ważąc słowa, w których i tak był bardzo oszczędny. — Darzę go sympatią. Myślę, że to słuszne z mojej strony, gdyż niejako zjednał mnie sobie. Obawiałem się wręcz, iż dam się porwać jego słowom wbrew swemu osądowi.

— Rzeczywiście, dobry z niego człowiek — przyznałem. — Mój ojciec bardzo go ceni, a ja spędziłem z nim sporo czasu. Nie przywiózłbym go tutaj, gdybym uznał, że wielebny go nie polubi.

— Owszem — (znowu chwila zawahania) — polubiłem. I uważam go za prawego człowieka. Niekiedy jego słowom brak powagi, a jednak cudownie jest go słuchać! Potrafi ożywić Horacego i Wergiliusza opowieściami ze swych podróży po ich rodzinnych krajach, gdzie, jak sam twierdzi, ich duch żyje po dziś dzień... Zupełnie jakbym sączył trunek. Słuchając go, zapominam o swoich obowiązkach, a jego historie zwalają mnie z nóg. W zeszłą niedzielę wieczorem sprowadził też naszą pogawędkę na tematy świeckie, o których nie przystoi rozprawiać w taki dzień... — Doszedłszy do domu, przerwaliśmy rozmowę. Lecz jeszcze zanim zapadła noc, wiedziałem już, że cała rodzina bezwiednie uległa urokowi mego przyjaciela. Nic dziwnego zresztą: Holdsworth widział i przeżył dużo więcej niż oni i potrafił opowiadać o tym z taką swobodą i naturalnością jak nikt inny; w mgnieniu oka sięgał po swój ołówek, by na skrawkach papieru szkicować przeróżne ilustracje — urządzenia do wydobywania wody w północnych Włoszech, stoliki do wina, bawoły, limby i sam nie wiem, co jeszcze. A jak już wszyscy obejrzeliśmy te szkice, Phillis zgarnęła je i wzięła ze sobą... Wiele lat upłynęło, odkąd cię widziałem, Edwardzie Holdsworth, lecz jakże uroczy był z ciebie człowiek! A przy tym dobry, choć wiele smutku z twego powodu doznałem!

Część III

Zaraz potem wyjechałem do rodzinnego domu na tygodniowy urlop. Tam wszystko toczyło się pomyślnie; nowa spółka ojca niewątpliwie dawała obu stronom powody do zadowolenia. I choć nasze skromne obejście nie zdradzało oznak mnożącego się bogactwa, to mojej matce przybyło wygód, jakie zapewniał jej mąż. Poznałem też państwa Ellison i po raz pierwszy ujrzałem ich urodziwą córkę Margaret, obecnie moją żonę. A po powrocie do Eltham dowiedziałem się o podjęciu pewnej decyzji, nad którą deliberowano już od jakiegoś czasu: Holdsworth i ja mieliśmy przenieść naszą siedzibę do Hornby, gdyż nasza stała obecność była tam konieczna dla ukończenia budowy miejscowej linii kolejowej.

Rzecz jasna, umożliwiło to jeszcze częstszy kontakt z moją rodziną na wsi. Po pracy mogliśmy chadzać pieszo na farmę, spędzić godzinę lub dwie na ciepłym, wieczornym powietrzu i zdążyć wrócić, nim letni zmierzch zamienił się w nocny mrok. Niekiedy wręcz pragnęliśmy zostać dłużej — otwarta przestrzeń, świeżość i uroki wsi stanowiły wyjątkowo miły kontrast dla ciasnej, dusznej kwatery w mieście, którą wynajmowałem od pana Holdswortha. Jednak zarówno wstawanie, jak i udawanie się na spoczynek o wczesnej porze było dla pastora sprawą nadrzędną, toteż bez skrupułów wypraszał nas z domu zaraz po wieczornej modlitwie lub, jak to nazywał, „gimnastyce duchowej”. Myśląc o tamtym lecie, przywołuję we wspomnieniach niejedną szczęśliwy dzień i kilka drobnych zdarzeń. Przesuwają się w mojej pamięci niczym fotografie i dzięki temu potrafię określić ich kolejność, wiedząc, iż zboże zbiera się po sianokosach, a jabłka zrywa się po zbiorach zbóż.

W trakcie przeprowadzki do Hornby, która trwała dość długo, nie mieliśmy czasu na odwiedziny na farmie Hope. Pan Holdsworth był tam raz podczas mojej nieobecności spowodowanej wyjazdem do domu. Któregoś upalnego wieczoru po pracy zaproponował, żebyśmy przeszli się

na farmę złożyć Holmanom wizytę. Tak się złożyło, że w nawale pracy nie zdołałem jak co tydzień napisać do domu i przed wyjściem z biura chciałem skończyć list. Holdsworth oznajmił więc, że pójdzie sam, proponując, abym później do niego dołączył.

Wyruszyłem jakąś godzinę po nim; na dworze było parno i pamiętam, że zdjąłem płaszcz i niosłem go przewieszony przez ramię. Kiedy dotarłem na farmę, wszystkie okna i drzwi były otwarte, a każdy najmniejszy listek na drzewie trwał w bezruchu. Wokół panowała głęboka cisza; z początku myślałem, że nie ma tam żywego ducha, lecz zbliżywszy się do drzwi, usłyszałem cichy, słodki śpiew. To kuzynka Holman, samiuteńka w całym domu, nuciła sobie hymn, dziergając w gasnącym świetle. Przywitała mnie serdecznie, po czym zasypała domowymi nowinkami z minionych dwóch tygodni; a ja z kolei opowiedziałem jej o swoich odwiedzinach w rodzinnym domu.

— A gdzie pozostali? — spytałem wreszcie.

Betty z parobkami pomagała w polu przy ostatnim załadunku siana, bo pastor twierdził, że jeszcze w nocy spadnie deszcz. Sam pomagał im w towarzystwie Phillis i pana Holdswortha. Kuzynka Holman także chciała się na coś przydać, lecz w przeciwieństwie do innych nie dałaby rady przy sianokosach, a zresztą ktoś musiał zostać na farmie i pilnować domu, bo w okolicy kręciło się sporo włóczęgów — gdyby nie to, że moja praca była związana z budową torów kolejowych, kuzynka nazwałaby ich „robociarzami”.

Zapytałem, czy mogę zostawić ją samą i pójść pomóc na polu, a gdy chętnie na to przystała, wyruszyłem zgodnie z jej wskazówkami: najpierw przejść przez podwórze, minąć sadzawkę, przemierzyć wypalenisko i udać się na rozciągnięte wyżej pole, pośrodku którego rosną dwa krzaki ostrokrzewu. Dotarwszy na miejsce, zastałem Betty i parobków, skoszone pole oraz załadowany po brzegi wóz. Stojący na nim parobek układał wiązki pachnącego siana, które inni wrzucali widłami. Na skraju pola leżała niewielka sterta ubrań (mimo iż była już siódma wieczór, upał wciąż był nie do wytrzymania), kilka pojemników i koszy, których pilnował dyszący Pirat. Wokół rozbrzmiewały głośne, wesołe, przyjacielskie rozmowy, jednak nigdzie nie było widać pastora, Phillis ani pana Holdswortha.

Pierwsza dostrzegła mnie Betty; rozpoznawszy mnie, domyśliła się celu mego przybycia i podeszła bliżej.

— Są tam... Właśnie szykują z panem Holdsworthem jakieś ustrojstwo.

Tak więc udałem się „tam”, na wysoko położone, rozległe błonia, zryte czerwonymi usypiskami, pagórkami i zagłębieniami, otoczone ciemnymi świerkami, które skąpane w nadciągającym cieniu przybrały barwę fioletu, zaś z bliska ożywione były żółcią kwitnącego kolcolistu, tutaj zwanego jeszcze zachodnim, który na tle ciągnących się w dali rzędów drzew wydawał się zadziwiająco złocisty. Na tym wrzosowisku, nieopodal furtki, ujrzałem ich troje. Policzyłem ich głowy, z zaciekawieniem pochylone nad teodolitem Holdswortha. Mój przyjaciel tłumaczył pastorowi, jak ustawić kąty i odczytać kierunek. Od razu poproszono mnie o pomoc przy trzymaniu łańcucha. Phillis słuchała równie uważnie jak jej ojciec; z trudem znalazła chwilę, by się ze mną przywitać, tak bardzo pragnęła usłyszeć odpowiedź na pytanie, które zadał Holdsworthowi jej ojciec. Staliśmy tak przez kilka minut, a ciemne chmury wciąż zbierały się na niebie. Po chwili rozdarła je oślepiająca błyskawica, rozległ się pomruk, a zaraz po nim seria grzmotów tuż nad naszymi głowami. Wszystko zaczęło się szybciej, niż się spodziewałem, szybciej, niż przewidywali inni; deszcz także nie zwlekał, natychmiast lunął z nieba. Gdzież mieliśmy się schować? Phillis miała na sobie tylko domowe ubranie — była bez czepka i szala. Z szybkością szalejących nad nami błyskawic Holdsworth ściągnął płaszcz, narzucił go dziewczynie na ramiona i niemal bez słowa zagonił nas do szczeliny w usypisku, gdzie znaleźliśmy schronienie, jakkolwiek marne by ono nie było. Zaszyliśmy się, przykucnięci jedno przy drugim, Phillis pośrodku nas, ściśnięta tak mocno, że ledwie zdołała poruszyć rękoma, by zsunąć z siebie płaszcz i otulić nim z lekka ramiona Holdswortha. Przypadkiem dotknęła jego koszuli.

— Oj, ależ pan przemókł! — wykrzyknęła przerażona żalonym tonem.

— A dopiero co przeszedł pan febrę! Och, panie Holdsworth, tak mi przykro!

Odwrócił nieco głowę, posyłając jej uśmiech.

— Jeśli się zaziębię, sam będę sobie winny, gdyż to za moją namową zostaliśmy pod gołym niebem!

Ale Phillis ponownie szepnęła tylko, że jej przykro. Wtedy odezwał się pastor.

— Ulewą niczego sobie. Prośmy Boga, żeby siano Ocalało! Nie zanosi się na to, że wkrótce przestanie padać. Pójdę lepiej do domu po deszczowce, bo przy takiej nawałnicy i burzy parasole nie są bezpieczne.

Zaproponowaliśmy z Holdsworthem, że go wyręczymy, ale pastor nie dawał za wygraną, chociaż rozsądniej byłoby wysłać Holdswortha, który i tak już przemókł, a poza tym przydałoby mu się trochę ruchu. Kiedy pastor się oddalił, Phillis wysunęła głowę, by wyrzucić na skąpane w deszczu wrzosowisko. Część urządzenia Holdswortha wciąż stała pod gołym niebem. Zanim zdążyliśmy się zorientować, Phillis wybiegła spod usypiska, pozbierała przyrządy i z dumą przyniosła je do naszej kryjówki, w której siedzieliśmy skuleni. Holdsworth zerwał się z miejsca, nie bardzo wiedząc, czy zaoferować jej pomoc, czy też nie. Kiedy biegła z powrotem, jej piękne, długie włosy falowały na wietrze, ociekając deszczem, oczy lśniły radośnie, a policzki oblały się zdrowym rumieńcem od wysiłku i wilgoci.

— No, panienko Holman, nazwałbym to nieposłuszeństwem — powiedział Holdsworth, kiedy Phillis podała mu jego przyrządy. — O nie, nie dziękuję panience — dodał, choć przez cały czas patrzył nań z wdzięcznością. — Tak się panienka zmartwiła, że przez nią zmokłem, że postanowiła zrobić to samo, by wzbudzić we mnie poczucie winy. Cóż za niechrześcijańska zemsta...

Każdy, kto bywał w wielkim świecie, z miejsca wychwyciłby jego filuterny (jak to określają Francuzi) ton, ale nie Phillis; była nim zażenowana, wręcz zdumiona. „Niechrześcijańska zemsta” brzmiało w jej uszach śmiertelnie poważnie; takich słów nie należało wypowiadać zbyt pochopnie. I choć nie bardzo rozumiała, o co właściwie ją oskarżano, była wyraźnie skłonna odeprzeć te zarzuty. Z początku jej żarliwe zaprzeczenia rozbawiły Holdswortha, a niefrasobliwość jego tonu jeszcze bardziej wprawiała Phillis w zakłopotanie, aż wreszcie rzekł coś poważnym głosem tak cicho, że nie usłyszałem, i kuzynka natychmiast zamilkła, oblewając się rumieńcem. Po chwili wrócił pastor z naręczami szali, peleryn i parasoli.

W drodze powrotnej na farmę Phillis szła blisko przy ojcu. Odniosłem wrażenie, że unika Holdswortha, podczas gdy jego postawa w niczym nie odbiegała od typowych dla niego zachowań podyktowanych nastrojem powagi: był względem Phillis uprzejmy, troskliwy i opiekuńczy. Oczywiście, wokół naszych przemoczonych ubrań narobiło się sporo zamieszania, jednak skupię się teraz na drobnych wydarzeniach tamtego wieczoru, ponieważ zachodziłem wówczas w głowę, cóż takiego szepnął Holdsworth do Phillis, że tak skutecznie ją uciszył, a ponadto, biorąc pod uwagę ich wzajemne stosunki w obliczu przyszłych wydarzeń, ów wieczór nabrał wyjątkowego znaczenia. Jak już wspomniałem, po naszej przeprowadzce do Hornby wizyty na farmie Hope były niemal na porządku dziennym. Kuzynka Holman i ja jako jedyni najmniej zabiegaliśmy o zażyłość z panem Holdsworthem, który jak tylko wrócił do zdrowia, zbyt często poruszał niezrozumiałe dla kuzynki Holman kwestie intelektualne, przemawiając tym swoim niefrasobliwym, prześmiewczym tonem, który wprawiał ją w zakłopotanie. Podejrzewam, iż przyjął ten ton dlatego, że nie wiedział, o czym rozmawiać z tą emanującą matczynym ciepłem kobietą o niewykształconym umyśle i kochającym sercu, poświęconym mężowi, córce, opiece nad domem i może odrobinę troskom wiernych parafii jej męża, gdyż oni w pewnym sensie do niego przynależeli. Nie raz widziałem na jej twarzy przelotny cień zazdrości, nawet o Phillis, że wraz z ojcem dzieliła wielkie pasje i zainteresowania, których jej matka nie była w stanie pojąć. Dostrzegłem to właściwie już przy pierwszym spotkaniu i podziwiałem subtelność i takt, z jakimi w takich okolicznościach pastor kierował rozmowy ku tematom, w których jego żona, dzięki praktycznemu doświadczeniu z życia codziennego, posiadała niepodważalną wiedzę. Phillis zaś, którą z ojcem łączyła szczególna zażyłość, odruchowo podążała w jego ślady, w swym córczym oddaniu zupełnie nieświadoma pobudek, jakie nim powodowały.

Ale wróćmy do Holdswortha. W rozmowach ze mną pastor niejednokrotnie wyrażał się o nim z lekką nieufnością, wynikającą głównie z obawy, iż pochopne słowa Holdswortha nie zawsze odzwierciedlały powagę i prawdę. Jednakże było to bardziej wyrazem buntu pastora

przeciwko swej fascynacji tym młodym człowiekiem aniżeli próbą oparcia się jego urokowi — tak przynajmniej sądził pastor, wymieniając mi wady Holdswortha. Ten z kolei wykazywał powściągliwość w obliczu dobroci i uczciwości pastora oraz podziw dla jego umysłu — jego zdrowej, silnej chęci poszerzania wiedzy. Nigdy dotąd nie znałem dwóch takich ludzi, którzy czerpaliby z wzajemnego przebywania ze sobą tyle radości i przyjemności. Dla Phillis Holdsworth nadal był niczym starszy brat: kierował jej naukę na nowe ścieżki, cierpliwie wysłuchiwał jej wywodów i nieukształtowanych teorii, znosił jej zawstydzenie — coraz rzadziej uderzając w żartobliwą nutę, która z trudem do niej docierała.

Któregoś dnia — w porze żniw — szkicował na kawałku papieru kłosa zbóż, woły ciągnące wozy pełne winogron — cały czas rozmawiając przy tym ze mną, Phillis i kuzynką Holman, która wtrącała swoje nie związane z tematem uwagi. Nagle zwrócił się do Phillis:

— Nie ruszaj głową, to cię narysuję! Często próbowałem narysować z pamięci twoją twarz, ale na próżno; spróbuję więc teraz. Jeśli mi się uda, podaruję szkic twojej matce. Co by pani powiedziała na portret córki jako bogini Ceres?

— Chciałabym taki mieć, i to bardzo. Dziękuję, panie Holdsworth, ale tą słomą potarga jej pan włosy... — (Holdsworth trzymał w dłoni nad znieruchomiałą głową Phillis źdźbło pszenicy, oceniając efekt swym artystycznym okiem). — Phillis, skarbie, skoro masz pozować do portretu, idź na górę i zaczesz gładko włosy.

— W żadnym wypadku. Proszę wybaczyć, ale wolę, by miała je rozpuszczone.

Zaczął szkicować, wpatrując się ze skupieniem w Phillis; zauważyłem, że jego spojrzenie wprawia ją w zakłopotanie — czerwieniła się i bladła na przemian, oddychała coraz szybciej, świadoma spojrzenia Holdswortha, aż wreszcie, kiedy poprosił: — Popatrz na mnie przez chwilę, żebym mógł narysować oczy — podniosła wzrok, zadrżała, po czym niespodziewanie zerwała się z miejsca i wyszła z pokoju.

Holdsworth nie odezwał się ani słowem, zajęty swoim rysunkiem; jego milczenie było nienaturalne, jego śniade policzki pobladyły nieco. Kuzynka Holman zerknęła znad robótki, odkładając okulary.

— Co się stało? Dokąd ona poszła?

Holdsworth bez słowa szkicował dalej. Uznałem, że powinienem coś powiedzieć; może to i głupie, ale w tej sytuacji głupota była lepsza od milczenia.

— Pójdę ją zawołać — odezwałem się.

Wyszedłem do holu i stanąłem przy schodach. Właśnie miałem ją zawołać, kiedy Phillis zbiegła zwinnie w czepku nagłowie.

— Idę do ojca na pole — rzuciła, minęła otwarte drzwi zakrystii zaraz na wprost okien salonu i znalazła się przy białej bocznej furtce.

Jej matka i pan Holdsworth sami widzieli, jak przemknęła za oknem, nie trzeba więc było nic wyjaśniać; długo jednak zastanawialiśmy się z kuzynką Holman, czy w salonie było dla Phillis zbyt gorąco, czy też do tak nagłego opuszczenia salonu skłoniło ją co innego. Przez resztę dnia Holdsworth zachowywał się wyjątkowo cicho. Nie uległ chęci dokończenia portretu; uczynił to dopiero podczas następnej wizyty na prośbę kuzynki Holman; stwierdził wówczas, że nie trzeba mu pozować, bo zrobi tylko pobieżny szkic, gdyż tylko taki wykonać potrafi. Phillis zachowywała się jakby nigdy nic. Nie wyjawiała powodu, dla którego czmychnęła wtedy z salonu.

Tak więc sprawy toczyły się dalej, przynajmniej z tego, co wówczas zaobserwowałem czy też zachowałem w pamięci, aż do największych zbiorów jabłek w roku. Noce były mroźne, poranki i wieczory mgliste, lecz w południe było jasno i słonecznie. I właśnie któregoś dnia, kiedy południową porą pracowaliśmy przy linii kolejowej w pobliżu Heathbridge, zważywszy na to, że na farmie trwały zbiory jabłek, postanowiliśmy udać się tam podczas przerwy obiadowej. Zastaliśmy ogromne kosze na bieliznę wypełnione po brzegi jabłkami, których zapach niósł się po domu, zatrzymując nas po drodze; wokół panowała ogólna atmosfera radości i zadowolenia z ostatnich zbiorów w roku. Żółte liście wisiały na drzewach, gotowe spaść z najmniejszym podmuchem wiatru; bujne kępy astrów-marcinków w ogródku warzywnym po raz ostatni wypuściły okazałe kwiecie. Musieliśmy skosztować owoców z różnych drzew, by móc się podzielić naszymi wrażeniami co do ich smaku; na koniec oddaliliśmy się z kieszeniami pełnymi tego, co najbardziej nam smakowało. Kiedy

mijaliśmy sad, Holdsworth z podziwem opowiadał o jakimś gatunku kwiatów, które tam ujrzał; okazało się, że tej tradycyjnej odmiany nie widział od dzieciństwa. Nie wiem, czy po tej luźnej rozmowie wracał jeszcze do niej myślami, bo ja nie — Phillis zaś, która zniknęła podczas ostatnich chwil tej naszej krótkiej wizyty, zjawiała się z bukietem tych właśnie kwiatów, związanych źdźbłem trawy. Podała je Holdsworthowi, który zęgnął się z jej ojcem. Widziałem ich twarze. Po raz pierwszy w jego ciemnych oczach wyraźnie dostrzegłem spojrzenie pełne miłości; było w nim coś więcej niż wdzięczność za to, że Phillis poświęciła mu odrobinę uwagi; wyrażało czułość, błaganie... namiętność. Zmieszana Phillis odsunęła się, a jej wzrok padł na mnie. Po części z chęci ukrycia emocji, a po części z uprzejmości, abym ja — przyjaciel, którego znała dłużej niż Holdswortha, nie poczuł się zlekceważony, pobiegła zerwać dla mnie kilka późno rozkwitłych chińskich róż. Wtedy po raz pierwszy zrobiła dla mnie coś miłego.

Musieliśmy szybko wracać na budowę, by zdążyć przed końcem przerwy robotników, więc po drodze prawie się nie odzywaliśmy, a po południu byliśmy zbyt zajęci, aby porozmawiać. Wieczorem wróciliśmy do naszego wspólnego lokum w Hornby. Na stole leżał list do Holdswortha odesłany z Eltham. Od rana nie miałem nic w ustach i kiedy podwieczorek był gotowy, od razu zabrałem się do jedzenia, nie bacząc na mojego towarzysza, który otworzył list i zaczął go czytać. Milczał przez długą chwilę, aż wreszcie rzekł:

— Opuszczam cię, stary przyjacielu!

— Opuszcza mnie pan? — spytałem. — Jak to? Kiedy?

— Ten list powinien być trafić do mnie już wcześniej. Przysłał go Greathed, ten inżynier. — (Greatedh był w tamtych czasach bardzo znany; dziś już nie żyje, a jego nazwiska prawie nikt nie pamięta). — Chce się ze mną spotkać w interesach. Prawdę powiedziawszy, Paul, ten list zawiera bardzo korzystną dla mnie ofertę wyjazdu do Kanady; mam tam nadzorować budowę linii kolejowej.

Byłem ogromnie zawiedziony.

— A co na to nasza spółka?

— Wiesz przecież, że Greathed sprawuje nadzór nad budową miejscowej linii. Będzie też naczelnym inżynierem przy budowie w Kanadzie. Wielu udziałowców naszej spółki chce tam inwestować, więc bez trudu wyjadą za Greathedem. Podobno ma on na moje miejsce jakiegoś młodego człowieka.

— Nienawidzę go za to — przyznałem.

— Dziękuję ci — odparł ze śmiechem Holdsworth. — Ale nie powinienes — dodał. — To dla mnie wielka szansa. Rzecz jasna, jeśli nie znajdą nikogo, kto przejmie moje podrzędne obowiązki, będę musiał zrezygnować z tych ważniejszych. Żałuję tylko, że nie otrzymałem tego listu choćby dzień wcześniej. Tu liczy się każda godzina, bo Greathed twierdzi, że grożą budową konkurencyjnej linii. Wiesz, Paul, że najchętniej wyjechałbym już dziś? Mógłbym wrócić lokomotywą do Eltham i zdążyć na nocny pociąg. Nie chciałbym, żeby Greathed pomyślał, że się waham.

— Ale wróci pan? — spytałem, przerażony myślą o tak szybkim rozstaniu.

— O tak! W każdym razie taką mam nadzieję. Choć być może zechcą, abym przypląnął następnym parowcem, czyli już w sobotę.

Zaczął jeść podwieczorek na stojąco, odniosłem jednak wrażenie, iż zupełnie nie jest świadom tego, co spożywa.

— Pojadę już dzisiaj. Gorliwość i zaangażowanie bardzo popłacają w naszym fachu. Zapamiętaj to sobie, mój chłopcze! Mam nadzieję powrócić, ale gdybym został w Kanadzie, przypomnij sobie wszystkie mądrości, które usłyszałeś z moich ust... No, gdzież się podział mój kufer? Jeśli zyskam choć pół godziny w Eltham na spakowanie swoich rzeczy, tym lepiej dla mnie. Wszelkie długi spłaciłem, a moją należność za pokój ureguluj z mojej kwartalnej premii, która wpłynie czwartego listopada.

— Więc jednak pan nie wróci? — spytałem zrozpaczony.

— Kiedyś w końcu wrócę, nie bój się — odparł przyjaźnie. — Może nawet za parę dni, jeśli się okaże, że nie nadają się do pracy w Kanadzie. A może zechcą, abym przyjechał później. W każdym razie, Paul, nie sądzisz chyba, że o tobie zapomnę; mój kontrakt potrwa najwyżej dwa lata, a potem być może znów będziemy pracowali razem.

Być może! Nadzieja prawie mnie opuściła. Takie szczęśliwe dni nie powracają już nigdy. Mimo wszystko starałem się, jak mogłem, żeby mu pomóc: ubrania, papiery, książki, przyrządy — z trudem upchnęliśmy je wszystkie w kuftrze, a ileż się przy tym namęczyłem. Poszło nam szybciej, niż sądziliśmy. Pobiegłem wówczas do parowozowni zamówić lokomotywę. Miałem odwieźć go do Eltham. Usiedliśmy, czekając, aż nas zawołają. Holdsworth wziął do ręki mały bukiet z farmy Hope, który spoczywał na kominku, gdzie go położył po powrocie do pokoju. Powąchawszy go, zaczął muskać kwiaty wargami.

— Przykro mi tylko, że dowiedziałem się dopiero teraz... i nie zdążyłem się pożegnać... z nimi.

W jego głosie brzmiała powaga; cień zasnuł jego twarz z powodu zbliżającego się rozstania.

— Przekażę im — obiecałem. — Na pewno bardzo się zasmuca.

Obaj zamilkliśmy.

— Nigdy nie darzyłem tak wielką sympatią żadnej rodziny.

— Wiedziałem, że pan ich polubi.

— Cóż za zmiana myślenia... A jeszcze dzisiaj rano przepęłniała mnie nadzieja, Paul... — Przerwał, po czym dodał: — Ukryłeś skrzętnie szkic?

— Ten zarys głowy? — spytałem, choć wiedziałem, że ma na myśli nieudany portret Phillis, którego nie zdołał dokończyć cieniem ani kolorem.

— Tak. Cóż to za słodka, niewinna twarzyczka! A zarazem taka... O rany! — westchnął, wstając z dłońmi w kieszeniach, i zaczął przechadzać się po pokoju, wyraźnie poruszony.

Naraz przystanął naprzeciw mnie.

— Powiesz im, co się stało. Koniecznie przekaz wielbnemu, że strasznie mi przykro, iż nie mogłem się pożegnać i podziękować jemu oraz jego żonie za życzliwość. A Phillis... daj Boże, bym powrócił za dwa lata i sam wyznał jej to, co mi leży na sercu.

— To znaczy, że pan kocha Phillis? — spytałem.

— Czy ją kocham? Tak, w rzeczy samej. Któż by się temu oparł, widząc ją taką, jaką miałem okazję ją poznać? Jej osobowość jest równie nadzwyczajna i nieprzeciętna jak jej uroda! Niech ją Bóg błogosławi! Niech ją zachowa w pokoju ducha, w czystości i niewinności. Dwa lata!

To długi czas. Lecz ona żyje w odosobnieniu, prawie jak śpiąca królewna, Paul. — Uśmiechał się, choć jeszcze przed chwilą pomyślałbym, iż jest bliski łez. — A ja powrócę z Kanady niczym księżę i obudzę ją swą miłością. Mimo wszystko mam nadzieję, że pójdzie mi łatwo, wiesz, Paul?

Jego niefrasobliwa nuta zirytowała mnie nieco, toteż nic nie odpowiedziałem. On tymczasem mówił dalej, na wpół przepraszającym tonem:

— Sam rozumiesz, że proponują mi pokaźną pensję, a oprócz tego dzięki takiemu doświadczeniu będę mógł w przyszłości żądać jeszcze więcej.

— To nie przekona Phillis.

— Nie! Ale uczyni mnie lepszą partią w oczach jej rodziców.

Nic nie odpowiedziałem.

— Życz mi jak najlepiej, Paul — dodał niemal błagalnie. — Nie chciałbyś, żebym został twoim kuzynem?

Z parowozowni rozległ się szcęk i gwizd lokomotywy.

— O, pewnie, że tak — odparłem, nagle łagodniejac wobec przyjaciela, który mnie opuszczał. — Szkoda, że nie możecie pobrać się już jutro; chciałbym być waszym družbą.

— Dzięki ci, chłopcze. Cóż za przekłety kufer... — (Tu pastor byłby oburzony, pomyślałem). — Ależ on ciężki!

Pomknęliśmy w ciemność. Holdsworth ledwo zdążył na nocny pociąg do Eltham, a ja przygnębiony wróciłem na noc do swojej kwatery u sióstr Dawson. Rzecz jasna, przez następne kilka dni byłem zajęty jak nigdy, pracując za nas dwóch. Niebawem przyszedł od Holdswortha list, zwięzły, lecz serdeczny. Wypłynął parowcem w sobotę, tak jak się tego spodziewał, a w przyszły poniedziałek miał przybyć do Eltham jego następca. Postscriptum zawierało tylko następujące słowa: „Bukiecik jedzie ze mną do Kanady, ale i bez niego zachowałbym wspomnienia z farmy Hope”.

Nadeszła sobota, lecz kiedy wyruszyłem na farmę, było już bardzo późno. Wieczór był mroźny, w górze lśniły gwiazdy, a ziemia skrzypiała pod moimi nogami. Najwyraźniej usłyszeli moje kroki, nim dotarłem do domu. Kiedy wszedłem, siedzieli w salonie zajęci codziennymi

czynnościami. Phillis uniosła głowę na powitanie, wymijając mnie wzrokiem, po czym rozczarowana wróciła w milczeniu do swojej robótki.

— A gdzie pan Holdsworth? — zagała po chwili kuzynka Holman. — Mam nadzieję, że nie podupadł znowu na zdrowiu... Nie podobał mi się ten jego suchy kaszel.

Zaśmiałem się niezręcznie, czując, iż będę zwiastunem niemiłych wieści.

— Jest już w pełni sił... i wyjechał... do Kanady!

Przekazując spiesznie tę wiadomość, umyślnie odwróciłem wzrok od Phillis.

— Do Kanady! — powtórzył pastor.

— Wyjechał! — wykrzyknęła kuzynka Holman. Ale Phillis nie odezwała się ani słowem.

— Tak! — odparłem. — Parę dni temu, kiedy wróciliśmy do Hornby... po wizycie u was, zastał list. Powinien był go dostać już wcześniej. Miał jechać prosto do Londynu spotkać się z jakimiś ludźmi w sprawie nowej linii kolejowej w Kanadzie, której budowę mu zlecono. Właśnie dzisiaj wypłynął. Smucił się niezmiernie, gdyż nie miał czasu przyjechać i się z wami pożegnać, ale już dwie godziny po otrzymaniu tego listu wyruszył do Londynu. Prosił, abym przekazał wam szczerze wyrazy wdzięczności za waszą życzliwość; bardzo żałował, że nie mógł przyjechać.

Phillis wstała i bezdźwięcznym krokiem wyszła z pokoju.

— Bardzo mnie to zasmuciło — rzekł pastor.

— I mnie, naturalnie, też! — dodała kuzynka Holman. — Naprawdę polubiłam tego młodzieńca, odkąd latem pielęgnowałam go po tej straszliwej febrze.

Pastor zaczął wypytywać mnie o przyszłe plany Holdswortha; przyniósł też wielki atlas w starym stylu, aby odszukać na nim dokładne miejsca, które połączyć miała nowa linia kolejowa. Niebawem przygotowano kolację; zawsze zanim zegar zdążył wybić ósmą, stół był już zastawiony. I oto weszła Phillis — z pobladłą, kamienną twarzą i wyrzutem w oczach, które nie uroniły ani jednej łzy, skierowanym na mnie; widać zraniłem jej dziewczęcą dumę, posyłając jej zaciekawione, współczujące spojrzenie, jak tylko zjawiała się w salonie. Nie skomentowała tego ani słowem —

ani razu nie zapytała też o nieobecnego przyjaciela, lecz mimo to zdołała wysilić się na rozmowę.

I tak upłynął cały następny dzień. Była niesamowicie blada, jakby doznała jakiegoś wstrząsu, jednak nie chciała dopuścić mnie do głosu, a zarazem usilnie starała się zachowywać normalnie. Kilkakrotnie powtórzyłem głośno liczne wyrazy serdeczności dla całej rodziny, do czego zobowiązany zostałem przez Holdswortha, lecz Phillis puściła je mimo uszu, jakbym rzucał w powietrze jakieś puste słowa. I w takiej atmosferze rozstaliśmy się w niedzielny wieczór.

Mój nowy pryncypał nie był nawet w połowie tak pobłażliwy jak jego poprzednik. Utrzymywał surową dyscyplinę i pilnował godzin pracy, toteż minęło sporo czasu, zanim znów udało mi się opuścić miejsce budowy choćby po to, by złożyć wizytę na farmie.

Był zimny, mglisty listopadowy wieczór. Powietrze, nawet w domu, zdawało się jakieś mętne, mimo iż w kominku buzował wielki ogień, który zazwyczaj wprowadzał w jadalni pogodny nastrój. Obie kuzynki siedziały przy okrągłym stoliku naprzeciw kominka, pracując w milczeniu. Pastor wyłożył na komodę swoje księgi i studiował je wnikliwie przy blasku samotnej świecy; być może nietypowa cisza w pokoju wynikała z obawy, by mu nie przeszkadzać. Jednak wszyscy ochoczo mnie powitali, bez szumu czy wylewności — jak zawsze zresztą; zdjęto ze mnie przemoczone ubranie, spieszenie przyrządzono posiłek, a przy kominku ustawiono dla mnie fotel, bym mógł cieszyć się widokiem całego pokoju. Wzrok mój spoczął na Phillis, bladej i przygnębionej, w której głosie pobrzmiwała nuta cierpienia (o ile mogę to tak określić). Robiła to, co zwykle — wykonywała drobne domowe obowiązki, lecz jakoś inaczej — nie umiem tego określić, gdyż poruszała się przy tym szybko i zwinnie jak zawsze, tyle tylko, że bez dawnej lekkości czy zapału. Kuzynka Holman zasypała mnie pytaniami; nawet pastor odłożył swoje księgi i usiadł przy kominku naprzeciwko mnie, by posłuchać wieści, jakie ze sobą przyniosłem. Najpierw musiałem im tłumaczyć, dlaczego tak długo mnie nie było — minęło przeszło pięć tygodni. Powód był prosty: praca oraz konieczność ścisłego przestrzegania nakazów nowego zwierzchnika, który nie znał jeszcze, co to zaufanie, a tym bardziej pobłażliwość.

Pastor pochwalił moje zachowanie skinieniem głowy i rzekł: — Tak, Paul! „Słudzy! posłuszni bądźcie panom wedle ciała”. Obawiałem się, iż u Edwarda Holdswortha miałeś aż nazbyt wiele swobody.

— Ach — westchnęła kuzynka Holman — biedny pan Holdsworth zapewne przemierza teraz słone wody!

— Otóż nie — odparłem. — Dotarł już na ląd. Dostałem od niego list z Halifaksu. — Natychmiast też posypał się na mnie grad pytań. Kiedy? Jak? Co porabia? Jak mu się tam podoba? Jak minęła podróż? I tym podobne.

— Nie raz myśli nasze wędrowały ku niemu, kiedy na dworze wiało niemilosiernie. Wiatr powalił stary pigwowiec, Paul, ten na prawo od wielkiej gruszy. To było w zeszły poniedziałek; właśnie tamtego wieczoru poprosiłam wielebnego o szczególną modlitwę za tych, co wypłynęli statkami na wielką głębię. Odparł, że pan Holdsworth pewnie już dobił do brzegu, a ja mu na to, że jeśli ta modlitwa nie tyczy się jego, to z pewnością przyda się innym, którzy właśnie płyną po morzach i potrzebują boskiej opieki. Sądziłyśmy z Phillis, że podróż morską pana Holdswortha potrwa miesiąc.

Phillis chciała coś dodać, lecz z początku jej głos zabrzmiał jakoś niepewnie. Przybrał nieco wyższy ton niż zwykle, kiedy powiedziała:

— Miesiąc albo i dłużej, jeśliby płynął żaglowcem. A on pewnie podróżował statkiem parowym?

— Stary Obadiah Grimshaw płynął do Ameryki niecałe siedem tygodni — zauważyła kuzynka Holman.

— A nie wspominał nic o nowej pracy? — dopytywał się pastor.

— Niestety! Dopiero co dotarł na miejsce. List zajmuje zaledwie jedną stronę. Przeczytam go wam, dobrze? „Drogi Paulu, po ciężkim wojażu dotarliśmy bezpiecznie do brzegu. Pewnie zainteresuje cię to, iż statek wydaje sygnały oznaczające litery. Napiszę znowu wkrótce. Mam wrażenie, że odkąd wyjechałem z Hornby, upłynął już cały rok, a jeszcze więcej czasu, odkąd ostatnio byłem na farmie. Bukieciak zachowałem. Pozdrów ode mnie Holmanów. Twój E. H.”

— Rzeczywiście, bardzo niewiele — przyznał pastor. — Całe szczęście, że te wietrzne noce spędza już na lądzie.

Phillis nic nie powiedziała. Siedziała ze spuszczoną głową, zajęta swoją robótką; wąpię jednak, czy podczas mojego czytania listu zaciągnęła choć jeden ścieg. Byłem ciekaw, czy wie, o jakim bukieciku pisał Holdsworth, lecz nie dała nic po sobie poznać. Kiedy wreszcie uniosła głowę, jej dotąd trupio blade policzki pokryły się jasnym rumieńcem.

Po godzinie czy dwóch musiałem wracać do Hornby. Przyznałem, że nie wiem, kiedy znowu przyjdę w odwiedziny, jako że my — przez co miałem na myśli spółkę — podjęliśmy się budowy linii Hensleydale, którą biedny Holdsworth nadzorował w chwili, gdy dopadła go febra.

— Przecież będziesz miał wolne na Boże Narodzenie — zauważyła kuzynka. — Chyba ci wasi przełożeni to nie bezbożnicy, żeby gonili was do pracy nawet w święta.

— A może chłopak zechce pojechać do domu — wtrącił pastor, próbując złagodzić zniecierpliwienie żony, choć wydaje mi się, że sam także pragnął, abym przyjechał.

Phillis utkwiała we mnie tęskny wzrok, któremu trudno było się oprzeć. Nie żebym zamierzał się opierać. Przy nowym zwierzchniku nie mogłem liczyć w święta na dość wolnego czasu, by odwiedzić rodziców w Birmingham i się nimi nacieszyć, a zresztą nie było nic przyjemniejszego od kilkudniowej wizyty na farmie u kuzynostwa. Umówiliśmy się więc na pierwszy dzień świąt w kościele w Hornby, a po nabożeństwie miałem towarzyszyć im w drodze do domu i być może zostać u nich na noc.

Umówionego dnia spóźniłem się do kościoła, zająłem miejsce przy drzwiach, niewymownie zawstydzony, choć w gruncie rzeczy nie była to moja wina. Po zakończeniu nabożeństwa wyszedłem i stanąłem w przedsionku, by zaczekać na kuzynostwo. W miejscu, gdzie stałem, zebrała się grupka zacnych parafianek, życząc sobie wzajemnie wesołych świąt. Śnieg, który właśnie rozpadał się na dworze, zatrzymał je w kościele nieco dłużej i rozmowa potoczyła się dalej. Nie zamierzałem podsłuchiwać, póki moje ucho nie wyłowilo nazwiska Phillis Holman. Wyteżyłem wówczas słuch, bo niby co mi szkodziło?

— Nigdy nie widziałam u nikogo takiej odmiany!

— Pytałam panią Holman — rzekła druga — czy Phillis dobrze się czuje, a ona mi na to, że dopadło ją przeziębienie i jest słaba, ale nie sprawiała wrażenia szczególnie zafrasowanej.

— Powinni otoczyć ją opieką — oświadczyła najstarsza z zacnych parafianek. — Phillis nie pochodzi z długowiecznej rodziny. Siostra jej matki, Lydia Green, czyli jej rodzona ciotka, zmarła wskutek choroby, kiedy była w wieku tej dziewczyny.

Ich złowieszcze plotki przerwało nadejście pastora, jego żony i córki, po czym nastąpił ciąg dalszy świątecznych życzeń. Zaskoczony, czułem w sercu ciężar oraz niepokój i nie bardzo umiałem należycie odpowiedzieć na serdeczne życzenia moich krewnych. Zerknąłem z ukosa na Phillis. Niewątpliwie zmieniła się, wysmukła i zeszcupłała, jednak rumieniec na jej twarzy zmylił mnie przez chwilę, pozwalając wierzyć, iż wygląda zdrowo jak zawsze. Dopiero po przybyciu na farmę, kiedy zamilkła dyskretnie, dostrzegłem jej mizerność. Jej szare oczy zdawały się puste i smutne, cera przybrała trupio blady kolor. Mimo to zachowywała się jak zwykle, a w każdym razie tak, jak podczas mojej ostatniej wizyty; nie wyglądała też na chorą, byłem zatem skłonny uwierzyć, że kuzynka Holman zgodnie z prawdą odpowiedziała na płynące z życzliwej ciekawości pytania parafianek — że Phillis zmaga się z następstwami ciężkiego przeziębienia i nic poza tym. Zakomunikowałem, iż zostanę na noc; spadło mnóstwo śniegu, lecz mówiono, że ma spaść go jeszcze więcej, choć ziemia była już pokryta grubą warstwą białego opadu. Pastor troskliwie zagnał bydło do obory i zaczął przygotowywać się na dłuższy czas takiej pogody. Mężczyźni rąbali drewno, wozili ziarno do młyna, by zdążono je zemleć, zanim drogi staną się nieprzejezdne dla zaprzęgniętych w konie wozów. Obie kuzynki poszły na górę do pomieszczenia, gdzie przechowywano jabłka, by przykryć owoce i zabezpieczyć je przed mrozem.

Większą część poranka spędziłem na dworze i dopiero godzinę przed obiadem znalazłem się w środku. Wiedząc, że Phillis miała pomóc przy przygotowaniu posiłku, ku mojemu zaskoczeniu zastałem ją przy garderobie, z głową podpartą obiema rękami i zaczytaną, a przynajmniej na pozór. Nawet nie spojrzała, kiedy wszedłem, tylko bąknęła coś, że matka

kazała jej zostać w pokoju z powodu przeziębienia. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może kuzynka płacze, lecz natychmiast zrzuciłem to na karb drobnych zawahań nastroju; czysty rozsądek nie pozwalał mi podejrzewać, iż subtelna, spokojna Phillis miewa, biedaczka, złe nastroje. Pochyliłem się i zacząłem przegarniać ogień w kominku, aby go wzniecić, bo chyba o nim zapomniano. Schylając głowę, usłyszałem odgłos, który sprawił, iż zastygłem w miejscu — był to niewątpliwie niepohamowany szloch. Zerwałem się z miejsca.

— Phillis! — zawołałem, ruszając w jej stronę z wyciągniętą ręką, by pochwycić jej dłoń i okazać w ten sposób żal z powodu jej cierpienia, jakie by ono nie było.

Lecz ona okazała się szybsza: cofnęła rękę z dala od mojej, jakby w obawie, że ją zatrzymam, a wychodząc zaraz z domu, rzuciła:

— Nie, Paul! Tego nie zniosę!

Minęła mnie, wciąż zanosząc się szlochem, i wybiegła na ostre, rzeńskie powietrze.

Zamarłem zdumiony. Co też ją naszło? W tej rodzinie panowała idealna harmonia, a Phillis, niejako dobrotliwa i łagodna, darzona była miłością tak szczególną, iż gdyby rozbolał ją choćby palec, serca wszystkich spowiłby cień. Czyżbym ją czymś zirytował? Nie: płakała, jeszcze zanim przyszedłem. Zajrzałem do jej książki — jednej z tych niezrozumiałych, napisanych po włosku. Nic a nic nie mogłem pojąć. Na marginesie dostrzegłem notatki nakreślone ołówkiem, piśmem Holdswortha.

Czy to dlatego? Czy tu właśnie tkwiła przyczyna jej bladości, posmutniałych oczu, mizernego wyglądu, napadów szochu? Myśl ta poraziła mnie niczym błyskawica w ciemną noc, rozjaśniając wszystko tak wyraźnie, że nie sposób o tym zapomnieć nawet wtedy, gdy powraca ponury, nieprzenikniony mrok. Kiedy tak stałem z książką w ręce, usłyszałem na schodach kroki kuzynki Holman i, jako że nie miałem wtenczas ochoty z nią rozmawiać, idąc za przykładem Phillis, wybiegłem z domu. Śnieg słał się po ziemi; widziałem na nim ślady jej pantofli oraz miejsce, w którym dołączył do niej Pirat. Doszedłem po nich aż do wielkiej sterty drewna w sadzie — uskładano ją pod tylną ścianą budynków gospodarczych — i przypomniało mi się, jak pierwszego dnia

na spacerze Phillis wyznała mi, iż miejsce pod stertą drewna było w dzieciństwie jej kryjówką i schronieniem; kiedy w domu czuła się niepotrzebna, zabierała tam książki do nauki czy też swoje robótki. Widocznie i teraz udała się do swej cichej samotni z dzieciństwa, niepomna tropu, jaki pozostawiła na śniegu w postaci śladów. Sterta drewna wznosiła się niezwykle wysoko, lecz przez szczeliny między deskami spostrzegłem jej sylwetkę, choć z początku nie bardzo wiedziałem, jak się do niej dostać. Siedziała na kawałku drewna, a przy niej Pirat. Policzek miała oparty o łeb psiska, a jej ramię obejmowało jego szyję, po części dla miękkiego oparcia, a po części z instynktownego pragnienia ciepła w ten przenikliwie zimny dzień. Wydawała z siebie ciche zawodzenie przypominające wycie zranionego zwierzęcia czy pojękiwanie wiatru. Niezwykle zadowolony z jej pieszczot, a być może tknięty współczuciem, Pirat uderzał grubym ogonem o ziemię, lecz poza tym ani drgnął, dopóki nie usłyszał moich kroków, nastawiając czujne uszy. Po chwili, szczerząc krótko i głośno w zaniepokojeniu, zerwał się od swojej pani. Obaj staliśmy nieruchomo przez chwilę. Nie bardzo wiedziałem, czy to, co zamierzam uczynić, jest rozsądne: a jednak nie mogłem znieść tego, iż słodkie, spokojne życie mojej drogiej kuzynki zakłócił jakiś ból, który miałem nadzieję uśmierzyć. A wyostrzony psi słuch wychwycił nawet mój wstrzymany oddech: usłyszawszy mnie, Pirat wyrwał się z uścisku swojej pani.

— Och, Pirat, przynajmniej ty mnie nie opuszczaj — jęknęła.

— Phillis! — zawołałem, obserwując, którędy wygramoliło się psisko: wejście do kryjówki znajdowało się po drugiej stronie sterty drewna. — Phillis, wyjdź stamtąd! Jesteś zaziębiona; nie powinnaś przesiadywać tutaj w taki dzień. Wiesz, ile przykrości i zmartwień przysporzysz całej rodzinie.

Westchnęła, lecz posłuchała; wyszła z lekka pochylona, po czym wyprostowała się i stanęła naprzeciwko mnie w tym samotnym, ogołoconym z liści sadzie. Na jej twarzy malowały się taka uległość i taki smutek, że czułem, iż winien jej jestem przeprosiny za moje słowa, które siłą rzeczy zabrzmiały kategorycznie.

— W domu bywa mi duszno — rzekła. — Jako dziecko zawsze chowałam się pod stertą drewna. To bardzo miło z twojej strony, ale niepotrzebnie za mną przyszedłeś. Łatwo się nie zaziębiam.

— To chodź ze mną do obory, Phillis. Muszę ci coś powiedzieć, ale na tym zimnie nie wytrzymam, wybacz mi.

Myślę, że znowu miała ochotę uciec, lecz nie starczyło jej sił. Powłokła się za mną, jak zauważyłem, raczej niechętnie. Miejsce, do którego ją zaprowadziłem, wypełniał aromatyczny oddech bydła i było tam trochę cieplej niż na dworze. Przepuściłem ją do środka, a sam stanąłem w drzwiach, zastanawiając się, jak by tu najlepiej zacząć. Wreszcie się przełamałem.

— Jest kilka powodów, dla których muszę pilnować, żebyś była zdrowa. Jeśli się rozchorujesz, Holdsworth będzie się o ciebie tam z daleka — (tu miałem na myśli Kanadę) — straszliwie zamartwiał...

Rzuciła mi badawcze spojrzenie, po czym lekko zniecierpliwionym ruchem odwróciła głowę. Uciekłaby pewnie, gdyby tylko mogła, lecz ja umyślnie zastawiłem drzwi swoim ciałem. Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B, pomyślałem i dodałem szybko:

— Przed wyjazdem dużo o tobie mówił... no wiesz, tamtego wieczoru po wizycie u was... kiedy dostał od ciebie te kwiaty. — Uniosła dłonie, by ukryć w nich twarz, jednak słuchała mnie, słuchała bardzo uważnie. — Nigdy przedtem tyle o tobie nie wspominał, ale konieczność nagłego wyjazdu sprawiła, iż otworzyło się jego serce. Wyznał mi, że bardzo cię kocha i że ma nadzieję, iż po powrocie weźmie cię za żonę.

— Nie — szepnęła, niemal wyrzucając to słowo wraz ze stłumionym westchnieniem, które wydała z siebie już kilkakrotnie, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Odwrócona do mnie plecami, cofnęła rękę, szukając mojej. Ścisnęła ją lekko, nie wypuszczając przez chwilę. Następnie chwyciła dłońmi za drewnianą przegrodę, oparła o nią głowę i cichutko zalała się łzami.

Z początku nie rozumiałem, o co jej chodzi, bałem się, że popełniłem błąd i tylko ją zdenerwowałem. Podszedłem do niej.

— Och, Phillis! Tak mi przykro... Sądziłem, że chciałabyś to usłyszeć. Mówił o tobie z takim uczuciem, jakby naprawdę bardzo cię kochał, i wydawało mi się, że to cię uszczęśliwi.

Uniosła głowę i popatrzyła na mnie. Cóż to było za spojrzenie! Jej oczy, lśniące niejako od łez, wyrażały nieomalże nieziemskie szczęście; jej

delikatne wargi wygięły się w zachwycie — skóra jej twarzy nabrała żywych kolorów, lecz jakby w obawie, iż jej oblicze zdradza zbyt wiele, więcej aniżeli tylko wdzięczność względem mnie, którą próbowała oddać słowami, prawie natychmiast ponownie ukryła twarz. A więc wszystko się zgadzało, moje domysły okazały się uzasadnione! Usiłowałem przypomnieć sobie, co jeszcze mówił Holdsworth, lecz Phillis znowu mnie powstrzymała.

— Nie — rzekła. Twarz miała odwróconą i zasłoniętą. Po dłuższej chwili dodała przyciszonym głosem: — Błagam, Paul, nie chcę słyszeć nic więcej ponadto, co już usłyszałam... i za co jestem bardzo wdzięczna... Ale... resztę wolałabym chyba usłyszeć od niego samego po powrocie.

I znowu się rozplakała, tym razem jakoś inaczej. Nie odezwałem się już ani słowem, tylko czekałem. Powoli zwróciła się ku mnie — unikając jednakże mojego spojrzenia i wsunawszy swoją dłoń w moją, jakbyśmy byli dwojgiem małych dzieci, powiedziała:

— Lepiej już wracajmy... Czy widać, że płakałam?

— Wyglądasz na mocno zaziębioną — odparłem jedynie.

— Aha! W każdym razie czuję się dobrze, zmarzłam tylko. Jak się przebiegniemy, to się rozgrzeję. Chodźmy, Paul.

Biegliśmy więc, trzymając się za ręce, aż do samego domu. W progu Phillis zatrzymała się.

— Paul, proszę, nie mówmy już o tym więcej.

Część IV

Spędzając Wielkanoc na wsi, posłyszałem kościelne plotki, pełne uznania dla kuzynki Holman, iż jej córka tryska zdrowiem, jakby całkiem zapomniano o złowieszczych prorocत्वach sprzed trzech miesięcy. Patrząc zaś na Phillis, nie dziwiłem się tym słowom. Ostatni raz widziałem ją w Boże Narodzenie. Wyjechałem z farmy Hope parę godzin po tym, jak przekazawszy jej wieści od Holdswortha, sprawiłem, iż serce jej zabiło szybciej nowym, pełnym życia rytmem. Kiedy słysząc pochlebne spostrzeżenia na temat jej pogodnego, tryskającego zdrowiem oblicza, skierowałem na nią wzrok, w pamięci wciąż miałem żywe wspomnienia z naszej rozmowy w oborze. Nasze oczy spotkały się i błysnęły porozumiewawczo na myśl o wspólnych przeżyciach. Phillis odwróciła głowę, rumieniąc się. Przez pierwszych kilka godzin po naszym spotkaniu wydawała się mną onieśmielona, ja zaś trochę gniewałem się na nią za to, iż po tak długim rozstaniu świadomie mnie unika. Pozwoliłem sobie na nieco zbyt wiele, mówiąc jej wtedy to wszystko, choć nie zostałem zobowiązany do dyskrecji ani też bynajmniej nie składałem Holdsworthowi przyrzeczeń, iż nie powtórzę jego słów. Niekiedy jednak na myśl o tym, że postąpiłem tak pod wpływem emocji na widok chorej, zatroskanej Phillis, ogarniał mnie dziwny niepokój. Postanowiłem wspomnieć o tym Holdsworthowi w następnym liście, lecz gdy do tego przyszło, siedziałem z piórem w dłoni nad na wpół zapisaną kartką, bijąc się z myślami. Większe skrupuły miałem przed wyjawieniem mu swoich odkryć bądź domysłów w kwestii sekretów Phillis, aniżeli wtedy, przed powtórzeniem jej słów Holdswortha. Uważałem, iż nie mam prawa dzielić się z nim swoimi podejrzeniami — innymi słowy wyjawić mu, że Phillis kocha go całym sercem, a jego nieobecność niemalże spowodowała u niej chorobę. Ponieważ jednak przyznanie mu, iż powtórzyłem jej słowa, jakie wypowiedział o niej tamtego wieczoru przed wyjazdem, wymagałoby

z mojej strony uzasadnienia, powziąłem w sobie zamiar zaniechania całego tego planu. Zresztą Phillis stwierdziła, iż wszelkie konkrety, szczegóły oraz dalsze szczere wyznania chciałyby najsampierw usłyszeć od niego samego, tak więc pozostawiłem Holdsworthowi tę przyjemność, by ów słodki, rozkoszny sekret posłyszał wprost z jej dziewiczych ust. Postanowiłem nie zdradzać swoich domysłów, przypuszczeń czy wręcz niezachwianych przekonań co do spraw sercowych Phillis. Po tym, jak Holdsworth podjął nową pracę, dostałem od niego dwa listy; były pełne życia i animuszu, a każdy z nich zawierał dla mojego kuzynostwa z farmy Hope wiadomość, dłuższą niż zwyczajne pozdrowienia, a także krótką, lecz wyrazistą wzmiankę o samej kuzynce Phillis na dowód, iż zajmuje ona w jego pamięci miejsce szczególne. Przekazałem te listy pastorowi, któremu z pewnością nie były one obojętne, nawet jeśli nie wiedział wszystkiego, gdyż napisano je z taką fantazją i polotem, że wniosły niejako do jego statecznego życia powiew zamorskiej aury. Często zastanawiałem się, czy istniał takowy fach bądź dziedzina, w których pastor nie zdołałby rozkwitnąć, gwoli ścisłości umysłowo, gdyby nie poszedł za głosem swego obecnego powołania. Nie mam wątpliwości, iż nadawałby się na głównego inżyniera; poza tym lubił morze, podobnie jak wielu ludzi z lądu, dla których bezkresna głębia była pełna uroków i tajemnic. Z lubością czytywał księgi prawnicze, a któregoś razu, wypożyczywszy *Brytyjską Konstytucję w ujęciu De Lolme'a* (czy coś o podobnym brzmieniu), rozprawiał o prawoznawstwie tak dogłębnie, iż mój ograniczony umysł za nim nie nadążał. Powróćmy jednak do listów Holdswortha. Odsyłając mi je, pastor załączył listę pytań, które nasunęły mu się po przeczytaniu treści korespondencji, a ja miałem je przekazać Holdsworthowi, aż wpadłem na pomysł, by zaproponować obu panom bezpośredni kontakt listowny. Takie właśnie nastroje wobec mojego nieobecnego przyjaciela zastałem, goszcząc w Wielkanoc na farmie, kiedy to wyczułem od Phillis obawę i nieufność, o których już wspomniałem. Posądziłem ją o niewdzięczność, nie bardzo wiedząc, czy zachowałem się rozsądnie, mówiąc jej to wszystko. Postąpiłem źle, może nawet głupio, ze względu na jej dobro; a tymczasem ona traktowała mnie chłodniej niż kiedykolwiek. Lecz kilka godzin później oschłość ta minęła. Widać, nabrawszy przekonania, że nie wrócimy —

słowem, spojrzeniem czy aluzją — do tematu, który pochłaniał jej myśli, Phillis znowu stała się dla mnie jak siostra. Miała mi sporo do opowiedzenia o swoich codziennych sprawach: o tym, jak Pirat się rozchorował, jak zaniepokoiło to całą rodzinę i jak po rozmowie z ojcem, równie zmartwionym cierpieniami starego psiska jak ona, postanowili wspomnieć o nim podczas rodzinnej modlitwy i już następnego dnia zwierzę poczuło się lepiej. Wówczas skierowała rozmowę na temat modlitwy, jej właściwego celu, zrządeń opatrności i sam nie wiem, czego jeszcze; ja zaś wzbraniałem się przed tym rękami i nogami, byle tylko nie dać się wciągnąć w tę dyskusję. Rozmawialiśmy więc o nowo wyklutych kurczętach, a ona pokazała mi kury, które sprawdziły się jako dobre matki, i opisała mi je wszystkie z charakteru, pełna jak najlepszych intencji, a ja w dobrej wierze słuchałem, przekonany, iż jej słowa zawierają sporo prawdy. A potem poszliśmy na spacer do lasu aż za łąkę i każde z nas zaczęło wypatrywać pierwiosnków oraz młodziutkich, pomarszczonych listków. Po tym pierwszym dniu Phillis nie obawiała się już zostawać ze mną sam na sam. Nigdy nie widziałem jej tak ślicznej i uradowanej. Sama chyba nie bardzo wiedziała, co ją tak nieustannie cieszy. Widzę ją teraz, jak stoi pod pączkującymi gałęziami szarych drzew, których zieleń z każdym dniem nabierała głębi; czepki ma zsunięte na tył głowy, trzyma naręcza delikatnego leśnego kwiecia. Nieświadoma mego spojrzenia, wsłuchuje się w słodki ptasi trzel płynący z pobliskich krzaków czy drzew. Umiała kląskaniem odpowiadać na śpiew różnych ptaków, a ich pieśni, zwyczaje i zachowania znała lepiej niż ktokolwiek inny. Poprzedniej wiosny na moją prośbę często naśladowała ptaki, lecz tego roku potrafiła ćwierkać, świstać i gruchać zupełnie jak one, z przepełnionego radością serca. Była oczkiem w głowie swojego ojca bardziej niż kiedykolwiek; matka otoczyła ją należną córce miłością, przelawszy nań ponadto uczucie do zmarłego w dzieciństwie syna. Słyszałem, jak kuzynka Holman szeptała pod nosem, wpatrując się w Phillis długo rozmarzonym wzrokiem; powtarzała sobie, jak bardzo jej córka przypomina Johnniego. Wzdychała przy tym, wydając z siebie niezrozumiałe płaczące tony i kręcąc leciutko głową na znak, iż nigdy w życiu nie pogodzi się z tak bolesną stratą. Starsza służba na włościach też darzyła dziecię tej ziemi ślepym, uległym

przywiązaniem, typowym dla parobków, rzadko przejawianym czy wyrażanym słowami. Kuzynka Phillis była jak róża w pełnym rozkwicie rosnąca po słonecznej stronie samotnego domu, osłaniana przed burzami. Jak to czytałem kiedyś w jakimś tomiku poezji...

„Nikt na jej chwałę słowa nie rzekł,
Nikt jej nie kochał prawie...”¹

Słowa te dziwnym trafem zawsze przywodziły mi na myśl Phillis, choć i one nie całkiem wyrażały o niej prawdę. Jakkolwiek nie słyszałem, by ją chwalono, zaś w całym domostwie kochało ją tylko kilkoro najbliższych, którzy także szczerzyli jej słów uznania, w oczach swych rodziców Phillis zawsze postępowała słusznie z wrodzonej prostoty, dobroci i mądrości. Kiedy byliśmy sami, ani razu nie padło między nami imię Holdswortha, choć jak już napomknąłem, jego listy przekazałem pastorowi, który nie raz wspominał naszego nieobecnego przyjaciela, pykając fajkę po pracowitym dniu. Phillis pochylała wówczas głowę nad swoją robótką i słuchała w milczeniu.

— Bez urazy, Paul, ale brakuje mi go bardziej, niż sądziłem. Mówiłem kiedyś, że przebywając w jego towarzystwie czuję się, jakbym sączył trunek. Tak było, zanim poznałem go lepiej, i być może kierowałem się duchem sądu. Umysły niektórych ludzi odbierają wszystko ze wzmożoną siłą, a tacy używają mocnych słów. On właśnie tak czynił. Ja zaś, próżny w swej ocenie, uznałem jego słowa za niefrasobliwe i pozbawione prawdy. Nie byłyby takimi, gdybym ja sam je wypowiedział, lecz w ustach kogoś, kto w ten sposób postrzega świat, tak właśnie brzmiały. Do zastanowienia się nad miarą, wedle której go oceniałem, skłoniła mnie wizyta brata Robinsona, który uświadomił mnie, iż mój krótki, żalosny cytat z „Georgików” zalatywał próżnością, gadulstwem i pogańskim bluźnierstwem. Brat Robinson stwierdził wręcz, że ucząc się obcej mowy, sprzeciwiamy się zamiarom Boga, który na widok wznoszonej wieży Babel postanowił pomieszać budowniczym języki, aby ci się nawzajem nie rozumieli. Podobnie jak brat Robinson osądził mnie, ja osądziłem

Holdswortha za jego cięty dowcip, jasny umysł i bezpośredniość w słowach...

Pierwsza chmura, jaka rzuciła cień na mój spokojny żywot, przysłała wraz z listem z Kanady, zawierającym kilka zdań, które zaniepokoiły mnie bardziej, niżbym się spodziewał, chociażby z powodu wykaligrafowanych w ich treści słów. Brzmiały one tak:

„Zgnuśniałbym w tej zapadłej dziurze, gdyby nie pewien Franko-Kanadyjczyk nazwiskiem Ventadour. W długie wieczory on i jego rodzina są dla mnie zbawieniem. W życiu nie słyszałem równie rozkosznego brzmienia co głosy jego synów i córek w pieśniach a cappella, zaś cudzoziemski element ich charakteru i stylu życia przywołuje mi w pamięci najszcześniejsze chwile mojego własnego. Lucille, ich druga córka, zadziwiająco przypomina Phillis Holman”.

Na próżno przekonywałem sam siebie, że właśnie ze względu na to skojarzenie Holdsworth upodobał sobie towarzystwo rodziny Ventadourów. Na próżno targany lękiem i podejrzliwością tłumaczyłem sobie, że owa zażyłość była rzeczą jak najbardziej naturalną i nic nie zwiastowało, iżby miała ona prowadzić do następstw, których powinienem był się obawiać. Miałem jednak przecucie i uległem obawom, których mój rozsądek nie zdołał zażegnać. Przypuszczam, iż przecucie to wzmogło się i wyostrzyło pod wpływem wątpliwości, jakie wkradły się do mojej głowy: czy słusznie postąpiłem, wyjawiając Phillis słowa Holdswortha. Jej radosne ożywienie tego lata odbiegało znacznie od jej dawnej łagodności i spokoju. Kiedy przejęty tą przemianą napotykałem jej wzrok, Phillis czerwieniła się rozpromieniona, myśląc, że przywołuję we wspomnieniach naszą wspólną tajemnicę. Pierwsza spuszczała wówczas oczy, jakby wstydząc się przede mną blasku ich spojrzenia. Mimo to uznałem, a wręcz pocieszałem się myślą, że jeśli ta przemiana była czymś więcej niż tylko moim niemądrym wymysłem, to rodzice Phillis z pewnością też by ją dostrzegli. Tymczasem oni nadal trwali w błogiej nieświadomości i niczym niezmaconym spokoju.

Niebawem i w moim życiu pojawiły się zmiany. W lipcu tegoż roku moja praca przy budowie trasy kolejowej i jej odgałęzień dobiegła końca. Linie zostały ukończone, a mnie nie pozostało nic innego, jak opuścić

hrabstwo i wrócić do Birmingham, gdzie czekała na mnie posada w świetnie prosperującej firmie ojca. Zanim jednak wyruszyłem na południe, oczywistą rzeczą było, iż powinienem jeszcze udać się w kilkutygodniowe odwiedziny na farmę Hope. Mój ojciec był równie uradowany tym pomysłem co ja, zaś moje drogie kuzynostwo często mówiło o tym, co podczas tej wizyty będziemy robić i oglądać. Jedyną rzeczą, która mąciła moje radosne oczekiwanie na ów wyjazd, była niepewność, czy aby mądrze postąpiłem, wyjawiając „te rzeczy” (w tenże zawołowany sposób określałem swoje nierozważne wyznanie przed kuzynką Phillis).

Życie na farmie było tak proste, że moje przybycie w niczym go nie zakłóciło. Znałem swój pokój jak stały mieszkanię domu. Znałem codzienny porządek dnia i musiałem się do niego stosować jak każdy członek rodziny. Nad farmą zawisła głęboka letnia cisza; ciepłe, złociste powietrze drgało od brzęczenia przelatujących w pobliżu owadów, z oddali dochodził gwar ludzkich głosów na polu, rozbrzmiewał wyraźnie odległy łoskot kół powozów toczących się po kamienistych drózkach kilka mil stąd. W ten upał ptaki nie śpiewały; od czasu do czasu można było usłyszeć pogruchiwanie grzywaczy wśród drzew rosnących za wypaleniskiem. Bydło brodziło po kolana w sadzawce, opędzając się ogonami od much. Pastor stał na polu, bez kapelusza i koloratki, bez płaszcza i nawet kamizelki, zasapany i uśmiechnięty. Phillis wraz z szeregiem parobków jednostajnym ruchem przerzucała kopki pachnącego siana. Zbliżyła się do krańca pola — aż do żywopłotu, po czym odrzucając grabie, podeszła do mnie i ochoczo przywitała mnie jak brata.

— Chodź, Paul! — powiedział pastor. — Potrzeba nam rąk do pracy, póki świeci słońce. „Wszystko, co może twoja ręka robić, w miarę twoich sił rób”. Przyda ci się taka zdrowa odmiana w pracy, chłopcze; mnie zawsze służy najlepiej.

Tak więc poszedłem, pełen chęci do pracy, za przykładem Phillis; obowiązywała tam prymitywna hierarchia: chłopak odpędzający wróble od owoców stał na samym końcu naszego szeregu. Pracowaliśmy, dopóki czerwony okrąg słońca nie zniknął za okalającymi błonie świerkami. Wówczas udaliśmy się do domu — na kolację, na modlitwy i do łóżek.

Nocą przez otwarte okno słyszałem gdzieś z oddali ptasi śpiew, o brzasku zaś rozległo się gdakanie i kwakanie domowego ptactwa. Przyniosłem bagaże pełne niezbędnych rzeczy, które zabrałem z kwatery, a pozostałe miały przyjść pocztą. Tego dnia doręczyciel przywiózł je wczesnym rankiem wraz z kilkoma listami, które przysły po moim wyjeździe. Rozmawiałem właśnie w salonie z kuzynką Holman — z tego, co pamiętam, o sposobie wypiekania chleba przez moją matkę, a kuzynka zasypywała mnie pytaniami, które dalece wykraczały poza moją wiedzę — kiedy ktoś ze służby przyniósł listy i musiałem zapłacić doręczycielowi, nim jeszcze zdążyłem na nie zerknąć. Był to rachunek... oraz list z Kanady! Jakiż to instykt sprawił, iż dziękowałem losowi za to, że znalazłem się sam na sam z moją drogą, mało spostrzegawczą kuzynką? Co nakazało mi szybkim ruchem wsunąć korespondencję do kieszeni surdutu? Nie mam pojęcia. Czułem się dziwnie, było mi niedobrze i obawiam się, że odpowiadałem zupełnie nie na temat. Następnie udałem się do swojego pokoju pod pretekstem wniesienia tam bagaży. Przysiadłem na krawędzi łóżka i otworzyłem list od Holdswortha. Miałem wrażenie, że już go czytałem i że znam dokładnie jego treść. Wiedziałem, że Holdsworth planuje ożenek z Lucille Ventadour — ba, domyślałem się wręcz, że już są małżeństwem, bo Holdsworth pisał, iż datę ślubu wyznaczono na koniec czerwca, a był już piąty lipca. Znałem wszystkie ku temu powody, które wymienił, i wszystkie jego zachwyty. Trzymając list lekko w palcach, wpatrywałem się gdzieś w próżnię, i niby dostrzegałem na gałęzi starej, zmurszałej jabłoni naprzeciw mojego okna gniazdo zięby, w którym matka karmiła swoje pisklęta — a jednak mój wzrok był niewidzący, choć później niemal dałbym głowę, że potrafiłbym odtworzyć na papierze każdy szczegół ptasich piór. Z zamyślenia wyrwały mnie radosne pokrzykiwania i tupot wiejskich trepów, jaki rozległ się w domu w porze obiadowej. Wiedziałem, że ja także powinienem zejść na posiłek; wiedziałem też, że muszę powiedzieć Phillis o ślubie, gdyż Holdsworth, w swym beztroskim samouwielbieniu i nowomodnej spontaniczności, dopisał w postscriptum, że roześle zawiadomienia o ślubie do mnie, do kilku znajomych z Hornby i Eltham oraz do „naszych serdecznych przyjaciół z farmy Hope”. I tak Phillis zeszła na dalszy plan jako jedna z jego kilkorga

„serdecznych przyjaciół”. Sam nie wiem, jak przeżyłem tego dnia wspólny obiad. Pamiętam, że zmuszałem się do jedzenia i dużo mówiłem; przypominam sobie także zdziwienie w oczach pastora. Nie należał on do tych, którzy bez powodu osądzają innych, lecz w tamtej chwili najwyraźniej uznał, iż zachowuję się jak odurzony. Możliwie najgrzeczniej wstałem od stołu, tłumacząc się, że idę na spacer. Z początku próbowałem zagłuszyć myśli szybkim krokiem i zanim zmęczenie kazało mi zwolnić, zdążyłem już zapuścić się w wysokie wrzosowiska rozciągnięte daleko za znajomymi, porośniętymi kolcolistem połaciami błoni. Żałowałem — och, jakże bardzo żałowałem, że popełniłem ten błąd, że podczas tamtej zaledwie półgodzinnej rozmowy z Phillis poczyniłem owo niedyskretne wyznanie. Mój żal przeplatał się z niesłusznym, jak mniemam, gniewem wobec Holdswortha.

Przesiedziałem na tym pustkowiu dobrą godzinę albo i dłużej, po czym ruszyłem z powrotem na farmę, obiecując sobie powiedzieć Phillis o liście przy pierwszej lepszej okazji i wzdrygając się zarazem przed spełnieniem tej obietnicy, gdy wszedłszy do domu (którego drzwi i okna w ten skwar były otwarte na oścież), zastałem Phillis samą w kuchni. Z obawy aż mnie zemdliło. Stała przy kredensie i kroїła na kromki wielki bochen domowego chleba dla parobków, którzy lada chwila mieli wrócić z pola, zwłaszcza że na niebie zawisły ciężkie, burzowe chmury. Na dźwięk moich kroków odwróciła głowę.

— Trzeba ci być w polu, pomóc przy sianie — odezwała się swym słodkim, łagodnym głosem.

Chwilę przedtem, zbliżając się do domu, słyszałem, jak wyśpiewuje cicho jakiś hymn, który najwyraźniej napełnił ją spokojem.

— Pewnie tak, ale wygląda na to, że zaraz się rozpada.

— W rzeczy samej, zanosi się na burzę. Mama położyła się do łóżka, bo znów dręczy ją straszna migrena. A teraz zjawiasz się ty...

— Phillis — przerwałem, gotów podjąć wiadomy temat. — Ja potrzebowałem długiego spaceru, by zebrać myśli po przeczytaniu listu, który otrzymałem dziś rano... listu z Kanady. Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie zasmucił.

Mówiąc to, podałem jej kopertę. Jej twarz zmieniła się nieco, bardziej, jak sądzę, pod wpływem mojego spojrzenia, aniżeli moich słów. Nie chciała wziąć listu. Musiałem poprosić ją wprost, aby go przeczytała; inaczej nie domyśliłaby się, o co mi chodzi. Wziąwszy list w dłonie, usiadła szybko i rozłożyła go na kredensie. Jej ręce spoczęły na blacie, a dłonie podparły czoło, kiedy siedziała odwrócona, przysłaniając twarz. Wyjrzałem przez otwarte okno; serce ciążyło mi jak kamień. Jakiż spokój panował na tej farmie! Spokój i dostatek. Jakże głęboka cisza ogarnęła cały dom! Tylko niewidoczny zegar na przestronnym półpiętrze tykał miarowo. W pewnej chwili rozległ się szelest obracanej cieniutkiej kartki. Najwyraźniej Phillis przeczytała list do końca. Mimo to siedziała nieruchomo, bez słowa, wręcz jakby bez tchu; ja zaś wciąż stałem z rękoma w kieszeniach, wpatrzony za okno. Byłem ciekaw, ile czasu upłynęło. Ta chwila zdawała się wlec bez końca — trwała nieznośną wieczność. Wreszcie spojrzałem na Phillis. Zapewne wyczuła mój wzrok, bo szybkim, energicznym ruchem odwróciła głowę, a jej oczy napotkały moje.

— Nie smuć się, Paul — powiedziała. — Błagam cię. Nie zniosę tego. Nie ma się czym smucić, przynajmniej w moim odczuciu. Nie zrobiłeś nic złego. — Zdawało mi się, że westchnąłem, ale chyba tego nie słyszała. — A on... przecież wolno mu się ożenić, prawda? Z pewnością będzie szczęśliwy. Och, jakże tego pragnę!

Te ostatnie słowa zabrzmiały jak przeciągły jęk; widocznie bała się wybuchnąć płaczem, bo zaraz dodała zmienionym tonem:

— Lucille... to po naszymu chyba Lucy? Lucille Holdsworth! Ładnie to brzmi... Mam tylko nadzieję, że... Zapomniałam, co chciałam powiedzieć. Och, już wiem! Nigdy więcej nie powinniśmy o tym mówić, Paul. I pamiętaj, że nie wolno ci się smucić. Nie uczyniłeś nic złego; okazałeś naprawdę wielką życzliwość. Patrzę na twoją smutną twarz i nie wiem, co począć... Od razu chce mi się płakać, wiesz.

Chyba naprawdę była bliska łez, lecz nagle rozpętała się wielka burza, jakby jedna z ciężkich chmur oberwała się tuż nad naszym domem. Zbudzona ze snu kuzynka Holman zawołała Phillis, przemoknięci do suchej nitki parobkowie przybiegli z pola schować się przed ulewą, a za nimi pastor, uśmiechnięty i niewzruszony tą walką żywiołów, bo dzięki ciężkiej,

całodniowej pracy w letnim skwarze część skoszonego siana spoczywała już bezpiecznie w stodole. W całym tym zamieszaniu raz czy dwa natknąłem się na Phillis; była zabiegana i, jak przypuszczałem, robiła wszystko jak należy. Nocą, kiedy zostałem w pokoju sam, odczułem wreszcie ulgę i zacząłem się przekonywać, że najgorsze mam już za sobą i że wcale nie poszło aż tak źle. Jednak kolejne dni były przepełnione smutkiem. Niekiedy myślałem sobie, że cała ta przemiana, jaka zaszła w Phillis, była wyłącznie moim wymysłem, bo w przeciwnym razie jej rodzeni rodzice pierwsi by ją dostrzegli. A tymczasem oni żyli sobie spokojnie i szczęśliwie, bardziej radośni niż zwykle, gdyż „zbiory pierwszych owoców”, jak to nazywał pastor, okazały się bardziej obfite niż dotychczas i zebrano tyle, że wystarczyło nawet dla najuboższego z parobków. Po burzy nastąpiło kilka pogodnych, spokojnych letnich dni, podczas których całe siano zniesiono do stodoły. Po nich przyszedły długie, łagodne deszcze, które zrosiły kłosa zbóż i na powrót ożywiły skoszoną trawę. W deszczowej porze pastor pozwalał sobie na dłuższy odpoczynek i więcej domowych przyjemności niż zazwyczaj: w ostre, przygruntowe mrozy robił sobie urlop zimowy, a w deszczową porę po sianokosach urlop letni. Siedzieliśmy przy otwartych oknach, pokój wypełniały wzniecone drobnym deszczem zapachy świeżości, a cichy, nieprzerwany szum pośród liści drzew mógł działać równie kojąco na szczęśliwych ludzi jak inne delikatne, nieustanne odgłosy, na przykład turkot młyńskiego koła czy bulgot źródła. Jednakże dwoje spośród nas nie odczuwało szczęścia. Jednym z nich niewątpliwie byłem ja, drugą zaś Phillis; co do tego miałem całkowitą pewność — i strasznie niepokoiłem się o kuzynkę. Od tamtego dnia, kiedy rozpętała się burza, słyszałem w jej głosie jakiś odmienny, surowy, fałszywy ton, coś jakby drżenie, w jej rozbieganych oczach zabrakło dawnego spokoju, jej twarz zmieniała kolor bez żadnego wiadomego mi powodu. Pastor, szczęśliwy w niewiedzy o sprawach, które tyczyły się bezpośrednio jego samego, wyjął swe księgi, opasłe tomiska mądrych klasyków. Czy, czytając i komentując je, zwracał się do Phillis, czy do mnie, nie bardzo wiedziałem, lecz czując instynktownie, że Phillis nie słuchała, gdyż nie była w stanie słuchać tych radosnych treści,

tak obcych jej wzburzonemu sercu, usiłowałem się skupić i w miarę możliwości coś z tego zrozumieć.

— Słuchajcie! — odezwał się pastor, postukując w welinową okładkę trzymanego w ręce woluminu. — W pierwszej księdze „Georgików” jest mowa o walcowaniu i nawadnianiu, dalej Wergiliusz podkreśla istotę wyboru najlepszych nasion i radzi oczyszczać rowy odwadniające. Co więcej, żaden szkocki rolnik nie wymyśliłby mądrzejszej rady niż koszenie łąki pokrytej rosą, nawet jeśli wymaga to pracy do późna. W dzisiejszych czasach to nadal żywa prawda...

Zaczął wybijać takt linijką o kolano, czytając przy tym jakieś łacińskie wersy. Jego monotonny głos zapewne drażnił Phillis, wybijając ją z rytmu pracy, bo pamiętam, jak zawiązawszy supełek na nitce, której używała do szycia, urwała ją szybkim ruchem. Zawsze kiedy słyszę dźwięk obrywanej nici, odnoszę wrażenie, iż ten, kto trzyma ją w dłoniach, nosi w sercu jakąś zadrę bądź urazę. Kuzynka Holman, szydełkując sobie spokojnie, dostrzegła powód, dla którego Phillis co rusz musiała przerywać szycie.

— Ta nitka jest do niczego, niestety — oznajmiła łagodnym, pełnym współczucia głosem, lecz dla Phillis było tego za wiele.

— Nitka... i w ogóle wszystko jest do niczego... Mam już serdecznie dość! — Rzuciwszy robótkę, wyszła spiesznie z pokoju.

Chyba pierwszy raz w życiu Phillis najzwyczajniej wpadła w złość. W innej rodzinie nikt nie zważałby na taki ton głosu czy zachowanie, ale w tym domu, przepełnionym atmosferą spokoju i życzliwości, wywołało to niemiłe zaskoczenie. Pastor odłożył książkę i linijkę i odsunął okulary na czoło.

Matka dziewczyny zasepiła się na chwilę, lecz zaraz jej twarz złagodniała.

— To, zdaje się, przez tę pogodę — rzekła tonem usprawiedliwienia. — Na niektórych tak działa. U mnie, dajmy na to, powoduje migrenę.

Wstała i wyszła za córką, jednakże w pół drogi rozmyśliła się i wróciła na miejsce. Kochana matka! Uznała, iż lepiej udać, że nic się nie stało, aniżeli robić zamieszanie wokół niecodziennego wybuchu złości u córki.

— Czytaj dalej, wielebny — powiedziała. — To nad wyraz ciekawe rzeczy i jeśli nawet nie ogarniam ich rozumem, to przyjemnie jest posłuchać twojego głosu.

Tak więc pastor kontynuował, aczkolwiek powoli i z przerwami, tym razem nie wybijając liniijką rytmu łacińskich słów.

Kiedy nastał zmierzch, wczesną porą owego lipcowego wieczoru, gdyż niebo było zasnuwane chmurami, Phillis wróciła po cichu, jakby nigdy nic. Wzięła się za robótkę, lecz na dzierganie było już za ciemno i wkrótce ją odłożyła. Po chwili zauważyłem, że jej dłoń chwyciła ukradkiem rękę matki, która zaczęła delikatnie ją gładzić, podczas gdy pastor, podobnie jak ja świadom owego milczącego przejawu czułości, opowiadał radosnym tonem o rzeczach, które w moim głębokim przekonaniu wydawały mu się w tym momencie równie nieciekawe, jak i mnie. Było to bardzo wymowne i dawało dowód temu, iż nawet dla niego jako farmera bardziej liczyło się wówczas to, co działo się wokół niego, niż starożytne rolnicze zwyczaje.

Pamiętam też inne zdarzenie — jak któregoś dnia służąca Betty zbesztala mnie, kiedy przechodząc obok kuchni, zastałem ją nad maselnicą i przystanąłem, by poprosić o kubek maślanki.

— Słuchaj no, kuzynie Paulu — (w ten sposób, idąc za przykładem rodziny, zawsze się do mnie zwracała) — coś dręczy naszą Phillis, a ty, ani chybi, domyślasz się, w czym rzecz. Tacy jak ty nie są w jej typie — (co bynajmniej nie zabrzmiało pochlebnie, ale Betty nigdy nikomu nie schlebiała, nawet tym, których darzyła wielkim szacunkiem) — ale tego twojego Holdswortha powinieneś był trzymać od nas z daleka. Czas wygarnąć ci prawdę w oczy.

Bolesna to była prawda. Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć na zarzut zawołany w trafnych słowach tej kobiety, toteż udałem zdziwionego.

— Phillis coś dręczy?! Ciekaw jestem, skąd ci to przyszło do głowy. Przecież tryska zdrowiem jak nikt...

— Biedaczysko! Ależ z ciebie duży dzieciak. I pewnie pojęcia nie masz, co to miłosna gorączka. Już ty swoje wiesz, złociutki! Więc nie gadaj mi tu o zdrowiu i innych takich. Niby dlaczego snuje się godzinami po nocach, zamiast leżeć w łóżku i spać jak dawniej? Mój pokój sąsiaduje z jej sypialnią i doskonale wszystko słyszę. Dlaczego przybiega zdyszana,

opada tam, na krzesło — ruchem głowy wskazała na to przy drzwiach — i jęczy: „Och, Betty, nalej mi, proszę, trochę wody”? Taką ją ostatnio widzę, a przecież zawsze przybiegała świeża i rześka. Jeśli ten twój przyjaciel namącił jej w głowie, to przyjdzie mu się gęsto tłumaczyć. To dziewczę rozważne i słodkie jak miód, oczko w głowie ojca i matki, a wielebny ceni ją sobie bardziej nawet od własnej żony. Pilnuj tego swojego kompana, bo za nic nie pozwolę, aby naszej Phillis stała się krzywda.

Cóż miałem robić, cóż odrzec? Pragnąłem równocześnie bronić Holdswortha, chronić tajemnicę Phillis i ułagodzić tę kobietę. Niestety, obrałem zły kierunek.

— Nie sądzę, by Holdsworth kiedykolwiek w życiu wspomniał jej, że ją... kocha. Jestem pewien, że tego nie zrobił.

— A jakże! Tyle że mężczyzna ma też oczy i ręce, których jest po dwoje, zaś język tylko jeden.

— Ale ona jest jeszcze taka młoda. Nie sądzisz, że jej rodzice dawno powinni byli się domyślić, co ją gnębi?

— No cóż, skoro mnie pytasz, to śmiało odpowiem, że nie. Dla nich Phillis nadal jest dzieckiem — tak też o niej mówią między sobą, jakby była jedynym niewinnym jagniątkiem na tym świecie. Ich córka na ich oczach zmienia się w dojrzałą kobietę, a oni traktują ją jak niemowlę w powijakach. Kto to słyszał, żeby mężczyźni zakochiwali się w bobasach, co noszą pieluchy?!

— Rzeczywiście! — przyznałem, parszcząc lekko śmiechem.

Betty jednak była poważna jak sądowy wyrok.

— Ha! Widzisz, śmiejesz się już na samą myśl... I głowę daję, że nawet wielebny, człowiek nieskory do śmiechu, też by się nie powstrzymał. Dokąd to poniosło tego Holdswortha?

— Do Kanady — odparłem szorstko.

— Tere-fere — rzuciła cierpkim tonem. — Powiedz mi lepiej, jak długo się tam jedzie, zamiast paplać jakieś bzdury. Kilka dni? A może tydzień?

— To bardzo daleko, płynął tam co najmniej trzy tygodnie — jęknąłem zrozpaczony. — Poza tym miał się żenić i pewnie nawet jest już po ślubie, więc sama widzisz.

Spodziewałem się wybuchu gniewu, lecz niepotrzebnie: sprawa była zbyt poważna. Betty usiadła i zamilkła na długą chwilę. Wydawała się taka markotna i osowiała, że mimowolnie przerwałem milczenie, żeby dodać jej trochę otuchy.

— Jak Boga kocham, Holdsworth nigdy nie wyznał Phillis miłości. Sądzę, że mu się podobała, ale to już przeszłość. Najlepsza rzecz, jaką możemy teraz zrobić... to okazać jej serce... Wiem, jak ją kochasz, Betty...

— Kołysałam ją na rękach, karmiłam jej braciszka ostatni raz, zanim powiększył grono aniołków — powiedziała, ocierając fartuchem oczy.

— A zatem nie dajmy po sobie poznać, że dostrzegamy jej smutek. Wówczas szybciej się otrząśnie. Skoro jej rodzice niczego się nie domyślają, musimy się zachowywać jakby nigdy nic. Na cokolwiek innego jest już za późno.

— Ja tam się nie zdradzę, bo i tak nic nie wiem. Sama zresztą też zasmakowałam kiedyś prawdziwej miłości. Żałuję tylko, że Holdsworth nie wyjechał wcześniej, zanim w ogóle zjawił się w tym domu. A jak się do mnie przymilał. I wypijał nam całe świeże mleko jak jakiś kot. Nienawidzę takich bałamutów.

Pozwoliłem jej wylać swoje żale na nieobecnego Holdswortha. Jeśli było to z mojej strony podłe i zdradzieckie, to sam ściągnąłem na siebie zasłużoną karę.

— Biada mężczyznom, którzy bałamucą kobiety. Niektórzy czynią to łatwo i niewinnie, gruchając niczym gołębie. Nie bierz z takich przykładu, mój chłopcze. Nie masz wprawdzie daru do uwodzenia, urodą także nie grzeszysz, gdyż ani swoją posturą, ani obliczem oka nie przykuwasz, zaś mową swą mógłbyś urzec co najwyżej głuchą żmiję, choć słowa twe bynajmniej szkody nie czynią.

Dla dziewiętnastolatka owa szczerza krytyka, choćby z ust najstarszej i najszeptniejszej przedstawicielki płci żeńskiej, brzmiała poniekąd krzywdząco, toteż ochoczo zmieniłem temat, powtórnie napominając Betty do zachowania tajemnicy Phillis.

Na koniec naszej rozmowy wygłosiła taką oto tyradę:

— Skończony głupcze, którego zwą kuzynem wielebnego — wszak wielu nieszczęśników ma za kuzynów głupców — myślisz, żeś rozumny,

bo nosisz te swoje okulary? Możesz uciąć mi język i przybić go do obory na pożarcie srokom, jeśli pisnę choć jedno słóweczko przeciwko tej biednej dziewczynie, bo jak mówi Biblia, język nieroztropnego jest jego upadkiem. A skoro przemawiam do ciebie Pismem Świętym, to może nareszcie się przekonasz i zechcesz zostawić mnie samą w mojej kuchni.

W tym czasie, od piątego do siedemnastego lipca, wyparłem poniekąd z pamięci wspomniane przez Holdswortha zawiadomienia o ślubie. Nie zdołałem wprawdzie całkiem o nich zapomnieć, lecz napomknąwszy Phillis o jego ożenku najwyraźniej uznałem to, co miało się wydarzyć w następstwie ich otrzymania, za nieistotne. Tak czy owak, kiedy zawiadomienia wreszcie nadeszły, było to dla mnie zaskoczeniem. Krótko przedtem zreformowano system pocztowy, wprowadzając, jak to mówią, „tanią przesyłkę”, lecz niekończąca się lawina kartek i listów, która miała zasypać większość domostw, jeszcze się nie zaczęła, a w każdym razie nie dotarła na nasze odludzie. W Hornby była jedna poczta, gdzie listonoszem był staruszek, który upychał niewielką ilość listów w kieszeń lub w dwie, jeśli uznał za stosowne, i roznosił je po Heathbridge i okolicy. Często spotykałem go w tamtych stronach gdzieś przy drodze i pytałem o korespondencję. Niekiedy widywałem go, jak odpoczywał, siedząc na skarpie; prosił mnie wówczas o odczytanie jakiegoś adresu, którego jego słabe oczy mimo okularów nie zdołały rozszyfrować. Kiedy zapytywałem go, czy ma coś dla mnie lub dla Holdswortha (listonoszowi było wszystko jedno, komu dostarcza listy, byleby tylko pozbyć się ich wszystkich i udać się do domu), odpowiadał zawsze niezmiennie to samo: że zapewne ma, po czym przeszukiwał wszystkie kieszenie: u surdutu, kamizelki, spodni, a na końcu dla pewności u płaszcza, aż wreszcie, widząc moją zawiedzioną minę, próbował mnie pocieszać, mówiąc: — Dzisiaj nieboga nie przesłała ni słówka, ale jutro ani chybi napisze. — Mówiąc „nieboga”, miał na myśli moją nieistniejącą ukochaną.

Kiedyś widziałem, jak pastor przyniósł do domu list, który czekał na niego w małym sklepiku w Heathbridge, pełniącym także funkcję poczty, lub też w bardziej okazałym urzędzie w Hornby. Raz czy dwa furman Josiah, napotkawszy pastora przy drodze, przypomniał sobie

o powierzonej mu przez starego listonosza korespondencji dla „wielebnego”.

Było to, zdaje się, jakieś dziesięć dni po moim przyjeździe na farmę i krótko po rozmowie z Phillis w kuchni przy krojeniu chleba, kiedy to pastor przemówił nagle przy obiedzie:

— Wiecie, mam w kieszeni pewien list. Podaj mi mój surdut, Phillis. — Na dworze wciąż było parno i pastor siedział w samej koszuli, bo tak było mu chłodniej i wygodniej. — Byłem w Heathbridge w sprawie papieru, który mi przysłali, tego, od którego niszczą się wszystkie pióra; zajrzałem też na pocztę i zastałem zaadresowany do mnie list, bez opłat... nie chcieli przekazać go staremu Zekielowi. O, proszę! Zaraz się dowiemy, co tam u Holdswortha... Postanowiłem poczekać, aż zgromadzimy się tu wszyscy razem.

Bicie mojego serca jakby ustało; zwiesiwszy głowę nad talerzem, nie śmiałem podnieść wzroku. Co teraz będzie? Co zrobi Phillis? Jaką ma minę?

Nastąpiła chwila napięcia, po czym pastor mówił dalej:

— No, no! A cóż to takiego? Dwie wizytówki z nazwiskiem, lecz nic nie napisano. Nie! To nie od niego, to od PANI Holdsworth! Ten młody człowiek najzwyczajniej w świecie się ożenił.

Na te słowa podniosłem głowę, by mimowolnie zerknąć na Phillis. Odniosłem wrażenie, że mnie obserwuje. Jej cera oblała się uroczym pąsem, oczy były suche i lśniące, jednak nic nie mówiła; wargi miała zasznurowane, jakby umyślnie mocno je zacisnęła, by nie wy dostało się z nich żadne słowo ani dźwięk.

Z kolei oblicze kuzynki Holman wyrażało zdziwienie i zainteresowanie.

— No! — powiedziała. — Któż by pomyślał! Krótkie to było narzeczeństwo. Oby tylko byli szczęśliwi. Policzmy. — Wysunęła palce dłoni. — Październik, listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec... a mamy już dwudziestego ósmego... to już prawie dziesięć miesięcy, a nie licząc pierwszego i ostatniego...

— Wiedziałaś o tym? — zwrócił się naraz do mnie pastor, najwyraźniej zdziwiony moim milczeniem, lecz póki co, nic nie podejrzewając.

— Owszem... słyshałem coś niecoś. Poślubił pewną młodą Franko-Kanadyjkę — wydusiłem z siebie nieomal siłą. — Nazywa się Ventadour.

— Lucille Ventadour! — wtrąciła Phillis drżącym, piskliwym głosem.

— Więc i ty wiedziałaś! — wykrzyknął pastor.

W tym momencie oboje przemówiliśmy jednocześnie.

— Jak tylko dowiedziałem się o jego planach... to powiedziałem Phillis — ożnamilem.

— Ożenił się z Lucille Ventadour, Francuzką z pochodzenia — mówiła Phillis. — Z rodu wywodzącego się z okolic St. Meurice, mam rację?

Skinąłem głową.

— Paul mi powiedział... ale nic więcej nie wiemy, prawda? A czy ty widziałeś się w Heathbridge z Howsonsami, ojczec?

Siliła się na rozmowność, której brakowało jej od kilku dni, zadawała pytania, próbując, jak zauważyłem, unikać drażliwego, wręcz bolesnego dla niej tematu.

Z trudem usiłując opanować emocje, poszedłem za jej przykładem. Nie angażując się za nadto w rozmowę, dostrzegłem u pastora konsternację i niepewność, kiedy wspierał starania Phillis zmierzające ku temu, by nie dopuścić do ponownego poruszenia przez jej matkę tematu wspaniałych wieści od Holdswortha i do jej nieustannych okrzyków zdziwienia i niedowierzania. Wszyscy z wyjątkiem jej jednej zostaliśmy w mniejszym lub większym stopniu wytrąceni z równowagi. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę czyniłem sobie coraz większe wyrzuty za mój wynikający z nadgorliwości nietakt. Dlaczego nie potrafiłem utrzymać swego głupiego języka za zębami przez zaledwie pół godziny; czemu w swej niecierpliwości pospieszyłem się, pragnąc ukoić ból Phillis?! Dręczony wyrzutami sumienia miałem ochotę uderzyć głową o ścianę. Niestety, nie pozostało mi nic innego, jak tylko pomóc tej dzielnej dziewczynie ukryć rozczarowanie i zachować jej dziewiczą tajemnicę. Zdawało mi się, że ta rozmowa przy stole nigdy się nie skończy. Cierpiałem bardziej z powodu Phillis niż przez swoje wyrzuty sumienia. Do tej pory słowa, jakie wypowiadałem w tym przepełnionym szczęściem domostwie, były zawsze prawdziwe i szczere; każdy mówił to, co myślał, a kiedy czuliśmy potrzebę milczenia, nikt nie próbował rozpaczliwie

podtrzymywać rozmowy na siłę po to tylko, by zagłuszyć ciszę, rozwiać natarczywe myśli czy podejrzenia.

Wreszcie wstaliśmy od stołu, szykując się do wyjścia, lecz niektórzy z nas stracili chęć i zapał do codziennej pracy. Pastor w milczeniu wyjrzał przez okno, a kiedy od niego odszedł, by udać się na pole do swoich parobków, zrobił to z ciężkim westchnieniem, gdy zaś mijał nas, kierując się ku drzwiom, odwrócił od nas swą zatroskaną twarz. Po jego wyjściu zerknąłem na Phillis; nie wiedząc, że jest obserwowana, pozwoliła sobie na chwilę smutku, goryczy i znużenia, jednakże na dźwięk głosu matki ożywiła się ponownie i szybko wybiegła wykonać jej polecenia.

Kiedy zostaliśmy sami, kuzynka Holman znów zaczęła rozprawiać o ożenku Holdswortha. Należała bowiem do tych ludzi, którzy rozkoszują się analizowaniem każdej sytuacji pod kątem wszelkich prawdopodobieństw czy wręcz opieraniem się na domysłach, a podczas obiadu pozbawiono ją tej przyjemności.

— I pomyśleć, że pan Holdsworth się ożenił! Wprost nie mogę w to uwierzyć, Paul. Taki sympatyczny młody człowiek! Ale nie podoba mi się imię jego żony. Brzmi jakoś obco, daję słowo, mój drogi. Oby tylko należycie się nim opiekowała. Pan Holdsworth jest taki chorowity. Jak żona nie dopilnuje, żeby nosił suche rzeczy, to obawiam się, że ten kaszel mu wróci.

— On zawsze powtarzał, że po tej febrze wzmocnił się jak nigdy — wtrąciłem.

— Tak mu się tylko wydaje, ale ja tam wiem swoje. Był bardzo miły, ale nie lubił, żeby koło niego chodzić. Dość już miał tego hołubienia, jak sam mawiał. Mam nadzieję, że niebawem oboje przyjadą do Anglii, aby pan Holdsworth całkiem wydobrzył. Ciekawe tylko, czy jego żona mówi po angielsku, chociaż wielebny twierdzi, że pan Holdsworth zna języki obce jak mało kto.

Rozmawialiśmy tak jeszcze chwilę, aż kuzynkę Holman ogarnęła senność nad robótką w to parne letnie popołudnie. Wymknąłem się wówczas na spacer, gdyż czułem potrzebę samotności, by przemyśleć pewne sprawy i — na swoje nieszczęście! — podręczyć się gorzkimi wyrzutami sumienia.

Powlokłem się leniwie aż do lasu. Szumiący wzburzony potok okalał tu i ówdzie głąz lub też korzeń starego drzewa, tworząc sadzawki; gdzie indziej zaś rwał wartko po żwirze i kamieniach. Zatrzymawszy się przy jednym z nich, stałem przeszło pół godziny, a nawet dłużej, rzucając do wody kamyczki i patyki i zastanawiając się, jak naprawić zaistniałą sytuację. Rzecz jasna, moje rozważania na nic się nie zdały i po długim czasie rozbrzmiewający w oddali dźwięk rogu, który oznajmił parobkom w polu koniec pracy, dał mi do zrozumienia, że to już szósta i czas wracać do domu. W tym momencie dobiegł mnie donośny śpiew wieczornego psalmu. Przemierzając wypalenisko, dostrzegłem z daleka pastora rozprawiającego z jakimś człowiekiem. Nie słyszałem ich słów, lecz widziałem, jak ten pierwszy wykonał gest zniecierpliwienia czy sprzeciwu (nie widziałem dokładnie), po czym odszedł szybko, niewątpliwie pogrążony w myślach, gdyż idąc w odległości zaledwie dwudziestu kroków ode mnie i zmierzając, podobnie jak ja, w stronę domu, nawet mnie nie zauważył. Wieczór upłynął nam w jeszcze większym napięciu niż to, które towarzyszyło nam podczas obiadu. Pastor był milczący, przygnębiony, wręcz drażliwy. Biedna kuzynka Holman, wyraźnie zakłopotana nietypowym zachowaniem i nastrojem męża, także czuła się nieswojo, a nieznośny upał i duchota doskwierały jej tak bardzo, że stała się mniej rozmowna niż zwykle. Phillis, zwykle pełna bliskiego uniżenia szacunku do swych rodziców, nadzwyczaj miła i grzeczna, zdawała się nie zważać na tę niecodzienną atmosferę, zaangażowana w rozmowę ze mną — z kimkolwiek, na obojętnie jaki temat, ignorując surową minę ojca i budzącą żal konsternację w oczach matki. Lecz gdy tylko mój wzrok spoczął na jej dłoniach, które skrywała pod stołem, spostrzegłem, jak nerwowo, konwulsyjnie spleta palce, raz po raz, zaciskając je od czasu do czasu tak mocno, iż napięta skóra całkiem jej zbieleła. Cóż miałem robić? Zabawiałem ją rozmową, widząc, jak bardzo tego pragnie; w jej szarych, podkrążonych ciemnymi sińcami oczach tlił się jakiś dziwny, ponury blask; policzki miała zarumienione, zaś wargi pobladłe, niemalże białe. Zastanawiałem się, czy nikt poza mną nie dostrzega tych oczywistych zmian. Może jednak ktoś dostrzegał, a wnioskując z tego, co nastąpiło potem, chyba nawet sam pastor. Biedna

kuzynka Holman! Otaczała swego męża takim uwielbieniem, że widoczne oznaki jego niezadowolenia były dla jej nacechowanego prostotą serca bardziej uchwytnie niż cierpienie jej córki. W końcu nie wytrzymała. Wstała, delikatnie położyła dłoń na jego szerokich, pochylonych plecach i rzekła:

— Co z tobą, wilebny? Czy stało się coś złego?

Wzdrygnął się, jakby wyrwany ze snu. Phillis zwiesiła głowę, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na reakcję, która budziła w niej przerażenie. Pastor zaś, ogarniając pokój powłóczytym spojrzeniem, skierował swe masywne, mądre oblicze ku zaniepokojonej małżonce i siłąc się na uśmiech, ujął jej rękę dodającym otuchy tym gestem.

— Dręczy mnie poczucie winy, moja droga. Wpadłem dzisiaj w złość. I niepomny swych czynów, odprawiłem Timothy'ego Coopera. Zniszczył tę pepinę w rogu sadu, zalewając jej pień wapnem do zaprawy murarskiej na budowę nowej ściany w stajni... Skończony głupiec! Drzewo z miejsca zmarniało... a tak ładnie obrodziło w owoc!

— Pepina to bardzo rzadka odmiana — przyznała współczująco kuzynka Holman.

— W rzeczy samej! Timothy to półgłówek, a poza tym ma żonę i dzieci. Nie raz był dla mnie utrapieniem z powodu swego nieróbstwa, ale powierzyłem go Panu i próbowałem jakoś to znieść. Dłużej jednak nie wytrzymam; moja cierpliwość się skończyła. Niech sobie szuka innej pracy. Ale dość już o nim, żono moja. — Zsunął lekko jej dłoń ze swych pleców, musnął ją wargami, po czym zapadł w milczenie równie głębokie i niemal tak samo posępne jak poprzednio.

Nie wiedzieć czemu, owa krótka wymiana zdań między ojcem i matką niechybnie wyzuła Phillis z całej udawanej beztroski. Bez słowa wyjrzała przez otwarte okno na wielki, łagodny księżyc, sunący z wolna po ciemnym niebie. W pewnej chwili zdawało mi się, że jej oczy wzbierają łzami, lecz jeśli nawet tak było, Phillis natychmiast otrząsnęła się i zerwała skwapliwie z miejsca, gdy jej matka, zmęczona i markotna, zaproponowała, abyśmy zaraz po modlitwach poszli położyć się spać. Każdy z nas z osobna zaczął żegnać się z pastorem, który wciąż siedział przy stole nad otwartą

Biblią, nie podnosząc głowy, lecz uprzejmie życząc nam dobrej nocy. Kiedy jako ostatni opuszczałem pokój, nie patrząc na mnie, rzekł:

— Paul, bądź tak miły i zechciej zostać na chwilę. Chciałbym z tobą pomówić.

W jednej chwili domyśliłem się, co mnie czeka. Zamknąłem ostrożnie drzwi, zgasilem świecę i usiadłem, czekając, co mi zgotuje los. Pastor nie bardzo wiedział, jak zacząć, i gdyby nie to, że poprosił mnie, abym został, za nic nie domyśliłbym się, że ma mi cokolwiek do powiedzenia; wydawał się bowiem głęboko zaczytany. Wreszcie podniósł głowę i rzekł:

— Chodzi o twojego przyjaciela Holdswortha! Jak sądzisz, Paul, czy on przypadkiem nie zawrócił Phillis w głowie?

Jego oczy na samą tę myśl płonęły takim gniewem, że straciłem przytomność umysłu i powtórzyłem tylko:

— Zawrócił Phillis w głowie?!

— Tak! Wiesz, co mam na myśli: chodził koło niej, umizgiwał się jak zakochany, a potem zostawił i wyjechał. Nazwij to, jak sobie chcesz, tylko powiedz mi cokolwiek... a najlepiej prawdę... i bez powtarzania po mnie, Paul.

Mówiąc to, drżał cały. Nie zwlekałem ani chwili z odpowiedzią.

— Nie sądzę, aby Edward Holdsworth kiedykolwiek chciał zawrócić Phillis w głowie. Nigdy się do niej nie zalecał i z tego, co mi wiadomo, ani razu nie wyznał jej miłości...

Przerwałem, chcąc zebrać się na odwagę, by powiedzieć jeszcze więcej, lecz za wszelką cenę pragnąłem zachować w tajemnicy uczucie, jakim Phillis darzyła Holdswortha — sekret, którego tak usilnie strzegła niczym świętości; ponadto potrzebowałem chwili zastanowienia, nim zacząłem mówić dalej.

Zanim zdążyłem przygotować dalszą część swej mowy, ponownie odezwał się pastor, tym razem jakby sam do siebie:

— Moja jedyna córeczka! Przecież to jeszcze dziecko. Chciałem zatrzymać ją przy sobie przez najbliższe lata. Wraz z żoną oddalibyśmy życie, byleby tylko uchronić ją przed krzywdą i cierpieniem. — Po chwili, spoglądając na mnie, dodał podniesionym głosem: — Z tym dzieckiem dzieje się coś niedobrego, przypuszczalnie odkąd doszły ją wieści o ślubie

Holdswortha. Ciężko mi na myśl, że mógłbyś lepiej ode mnie znać jej sekretne smutki i troski... lecz być może tak właśnie jest, Paul... więc, jeśli to nic grzesznego, powiedz, cóż mogę uczynić, aby stała się na powrót szczęśliwa; no powiedz.

— Obawiam się, że to na nic się nie zda — odparłem. — Przyznam jednak, że to ja zawiniłem. Popełniłem nie grzech, lecz błąd w ocenie sytuacji. Przed wyjazdem Holdsworth wyznał mi, że kocha Phillis i że chciałby ją pojąć za żonę, więc jej o tym powiedziałem.

Nareszcie! Wyrzuciłem to z siebie, przyznałem się do swojej winy w całym tym zamieszaniu, po czym zacisnąłem wargi i czekałem na słowa pastora. Twarzy jego nie widziałem; wzrok miałem utkwiony w przeciwną ścianę. Wielebny chciał coś powiedzieć, lecz po chwili zaczął wertować stronicę Biblii. Jakże straszliwa cisza wypełniła pokój! Jakże cicho zrobiło się na dworze! Zza otwartych okien nie było słycać nawet szelestu liści, ptasiego ćwierku czy choćby szmeru skrzydeł — znikąd nie dochodził żaden dźwięk. Tykanie zegara na półpiętrze... ciężki oddech pastora... czy to się nigdy nie skończy? Zniecierpliwiony tą głęboką, przytłaczającą ciszą dodałem:

— Ja tylko chciałem dobrze.

Pastor zamknął gwałtownie Biblię i wstał. Wówczas dostrzegłem siłę jego gniewu.

— Chciałeś dobrze, powiadasz? Chciałeś dobrze, mówiąc młodej dziewczynie coś, o czym nie raczyłeś nawet wspomnieć jej rodzicom, którzy zaufali ci jak rodzonemu synowi?

Zaczął chodzić po pokoju, tam i z powrotem, przy otwartym oknie, wzburzony pełnymi gorzycy myślami na mój temat.

— Żeby zawracać dziecku głowę takimi rzeczami — ciągnął — burzyć jej paniński spokój bredniami o miłości jakiegoś mężczyzny. Zresztą co to za miłość — dodał wzgardliwie — skoro on jest gotów obdarzyć nią każdą młodą kobietę. Och, cóż za rozpacz gościła na twarzy mojej biednej córki dzisiaj przy obiedzie... cóż za rozpacz, Paul! Sądziłem, że można ci zaufać tak jak twojemu ojcu, a ty nakładłeś temu dziecku do głowy takich rzeczy. Wmówiłeś jej, że ten człowiek pragnie ją poślubić...

Mimowolnie wspomniałem dziecinny fartuszek, który Phillis długo nosiła, jakby jej rodzice nieświadomi byli rozkwitu jej kobiecości. Owa nieświadomość emanowała właśnie teraz ze słów i myśli pastora: Phillis była dla niego dzieckiem, którego niewinny spokój zakłóciły próżne, bezmyślne rozmowy. Wiedziałem, że prawda była inna, jednak nie byłem w stanie jej wyjawić; nie śmiałybym nawet spróbować. Daleki byłem od tego, by dorzucić jeszcze tę krztę cierpkości do smutku, jaki trapił pastora z mego powodu. Wielebny zaś mówił dalej, milknąc od czasu do czasu, by gwałtownym, pełnym zniecierpliwienia ruchem przełożyć coś na stole czy przestawić jakiś mebel, co było zupełnie niepotrzebne, a po chwili zaczynał ponownie:

— Taka młoda, czysta, nieskażona złem tego świata! Jak mogłeś rozmawiać w ten sposób z dzieckiem, rozbudzić w niej nadzieje i uczucia... które w ten sposób zdeptano! Tym lepiej zresztą, choć widziałem na jej biednej twarzązycie ogromny ból. Nie umiem ci tego wybaczyć, Paul; powtórzyłeś jej słowa tego człowieka, a to coś więcej niż uchybienie... to podłość...

Stał plecami do drzwi; zasłuchany w swój gniewny ton nie słyszał, jak się otworzyły. Dopiero gdy się odwrócił, ujrzał w pokoju Phillis i zastygł w miejscu.

Nie zdążyła się ubrać, narzuciła tylko ciemny, zimowy płaszcz, który opadał długimi fałdami aż do jej białych, bosych, stąpających bezdźwięcznie stóp. Twarz miała dziwnie pobladłą, ciemne sińce okalały jej zmęczone oczy. Wolniutko zbliżyła się do stołu i oparłszy się ręką o blat, odezwała się żałośnie:

— Ojczy, nie obwiniaj Paula. Przypadkiem słyszałam waszą rozmowę. To prawda, że o wszystkim mi powiedział, choć pewnie rozsądniej byłoby zachować to dla siebie, drogi Paulu! Jednak... o rany! Tak strasznie mi wstyd! Powiedział mi z czystej życzliwości, bo widział... mój przeraźliwy smutek z powodu wyjazdu pana Holdswortha.

Zwiesiwszy głowę, oparła się ciężko o blat stołu.

— Nie pojmuję — odparł jej ojciec, chociaż zaczynał już rozumieć.

Phillis nie odpowiedziała, dopóki nie zapytał jej wprost. Miałem ochotę rzucić się na niego za tę jego bezwzględność, lecz po chwili

i ja zrozumiałem.

— Kochałam go, ojczy! — odezwała się wreszcie, podnosząc wzrok na pastora.

— A czy on kiedykolwiek rozmawiał z tobą o miłości? Paul twierdzi, że nie!

— Nigdy. — Znowu spuściła oczy, osuwając się na stół. Przez chwilę bałam się, że upadnie.

— Nie dałbym temu wiary — oznajmił surowym tonem, lecz z chwilą wypowiedzenia tych słów z jego ust dobyło się westchnienie ulgi. Przez chwilę zapanowała głucha cisza. — Paul! Byłem wobec ciebie niesprawiedliwy. Zawiniłeś wprawdzie, lecz nie zasłużyłeś na te wszystkie zarzuty, które ode mnie usłyszałeś.

I znowu cisza. Zdawało mi się, że Phillis poruszyła bladymi wargami, a może to tylko zadrgał płomień świecy — ćma, która wleciała przez otwarte okno, krążyła wokół ognia; mogłem ją ocalić, lecz wtedy o tym nie myślałem, zbyt wiele trosk przepełniało moje serce. Tymczasem przez długie, wlokące się bez końca chwile nie było słyhać żadnego dźwięku. Wreszcie przemówił pastor:

— Phillis! Czy nie byłaś z nami szczęśliwa? Brakło ci naszej miłości?

Chyba nie zrozumiała, jaki był sens tych pytań, bo spojrzała zdumiona, a jej śliczne oczęta rozwarły się szeroko, pełne bólu i udręczenia. Najwyraźniej tego nie dostrzegłszy, pastor mówił dalej.

— A jednak chciałaś nas opuścić, zostawić dom, ojca i matkę i wyjechać z tym obcym człowiekiem w daleki świat.

On także odczuwał ból; gdy wypowiadał te zarzuty, w jego głosie brzmiała nuta cierpienia. Nigdy dotąd tych dwoje nie dzieliła tak ogromna przepaść, nigdy nie było między nimi takiej oschłości. Mimo to ogarnięta jakimś nagłym przerażeniem Phillis postanowiła szukać ratunku właśnie u ojca. Cień spowił jej oblicze, kiedy chwiejnym krokiem zbliżyła się do pastora, po czym upadła, obejmując rękami jego kolana i lamentując:

— Ojczy, moja głowa, moja głowa!

I wysłizgnąwszy się z jego wyciągniętych ramion, osunęła się na podłogę u jego stóp.

Nigdy, przenigdy, póki żyję, nie zapomnę tej nagłej trwogi, jaka malowała się na jego twarzy! Podnieśliśmy Phillis; miała dziwnie zszarzałą skórę i była nieprzytomna. Wybiegłem przez kuchnię na podwórze do pompy i przyniosłem trochę wody. Pastor ułożył ją na swych kolanach; z głową opartą o jego pierś wyglądała niemal jak śpiące dziecko. Próbował podnieść się mimo przytłaczającego go słodkiego ciężaru, lecz paniczny strach pozbawił tego silnego mężczyznę wszelkiej mocy i pastor opadł z powrotem na fotel, dysząc i szlochając zarazem.

— Ona żyje, prawda, Paul? — wyszeptał chrypliwie, kiedy podszedłem bliżej.

Ja także nie zdołałem wydobyć z siebie głosu, lecz wskazałem na drgające kąciki jej ust.

W tym momencie, zaniepokojona niecodziennymi odgłosami, weszła kuzynka Holman. Pamiętam, że zaskoczyła mnie jej przytomność umysłu, wiedziała bowiem, co należy czynić, w przeciwieństwie do pastora, który drżał cały, poblady z przerażenia. Sądzę, że to wspomnienia o zaszłych przed chwilą zdarzeniach oraz zadreczanie się myślą, iż to jego słowa wywołały u Phillis ten wstrząs czy cokolwiek to było, osłabiły pastora tak dotkliwie. Zanieśliśmy Phillis na górę, a kiedy kobiety kładły ją do łóżka, wciąż nieprzytomną, targaną lekkimi drgawkami, wymknąłem się z domu, osiodłałem jednego z koni i co sił w nogach rozleniwionego zwierzęcia pognałem do Hornby po miejscowego doktora.

Nie zastałem go i nie wiadomo było, czy w ogóle wróci na noc. Pamiętam, jak szepnąłem: „Boże, pomóż nam”; a gdy dosiadłem konia, przez otwarte okno wyłoniła się głowa praktykanta, by zobaczyć, któż to tak szaleńczo pociąga za nocny dzwonek. Okazał się dobrodusznym człowiekiem. Oznajmił:

— Doktor powinien być za pół godziny. Nigdy nic nie wiadomo, ale myślę, że niebawem wróci. Jak tylko się zjawi, powiem, aby zaraz jechał na farmę Hope. Pewnie chodzi o tę piękną dziewczynę, córkę Holmanów?

— Tak.

— Żal by było ją stracić. To ich jedyne dziecko, prawda? Posiedzę w gabinecie i zapalę fajkę, póki doktor nie wróci. Gdybym się położył,

mógłbym jeszcze zasnąć...

— Dziękuję, dobry z pana człowiek!

Pomknąłem jak najszybciej na farmę.

Phillis miała zapalenie opon mózgowych. Tak stwierdził doktor, który przybył nad ranem. Zresztą sami chyba już wcześniej, podczas nocnego czuwania, domyśliliśmy się, co to za choroba. Lecz ani słów nadziei na całkowite wyzdrowienie, ani też złej wieści o zbliżającym się końcu doktor w swej ostrożności nam nie przekazał. Zostawiwszy zalecenia, obiecał przyjechać ponownie niebawem, co świadczyło o tym, iż jest świadom powagi sytuacji.

Dzięki Bogu, Phillis wyzdrowiała po długiej, męczącej chorobie. W myśl wcześniej poczynionych planów miałem na początku sierpnia wracać do domu. Plany te jednak bez słowa uległy zmianie. Niewątpliwie byłem wówczas potrzebny Holmanom, a zwłaszcza pastorowi, a mój ojciec był ostatnim człowiekiem na świecie, który w zaistniałych okolicznościach oczekiwałby ode mnie, iż wrócę do domu.

Jak wspomniałem, byłem im wtedy potrzebny. Wszyscy ludzie (rzekłbym nawet, wszystkie stworzenia, bo przecież nawet głupie zwierzęta rozpoznawały i kochały Phillis) w całym domostwie pogrążyli się w smutku, jakby zawisła nad nimi jakaś chmura. Powrócili do swych obowiązków, a każdy walczył z pokusą lenistwa, chcąc zasłużyć na zaufanie, jakim obdarzył ich pastor. Bowiem w dniu, kiedy Phillis zachorowała, pastor zwołał wszystkich parobków do stodoły, prosząc o modlitwę w intencji jego jedyne dziecko; wtedy też przyznał, iż chwilowo nie jest w stanie myśleć o niczym innym poza swą bliską śmierci córeczką, toteż poprosił ich, aby wrócili do pracy bez niego i jak najlepiej wykonywali swoje obowiązki. A skoro, jak już mówiłem, byli to uczciwi ludzie, toteż dwoili się i troili, lecz na ich przygasłych twarzach malowała się troska, gdy o bladym świecie przychodzili jeden po drugim spytać o samopoczucie Phillis, której choroba kładła się cieniem na życie wszystkich domowników. Wysłuchując wieści od Betty, które opatrzone jej komentarzem brzmiały zwykle nieco posepnie, kiwali powoli głowami, otepiali smutkiem i współczuciem. Jednak, jako że tym niebogom nie można było powierzyć załatwienia szybkich sprawunków, wówczas

przydała się moja skromna osoba. Któregoś razu musiałem pędzić do Sir Williama Bentincka po łód z jego chłodni do okładów na głowę Phillis. Innym razem trzeba mi było jechać aż do Eltham, nieważne, czy pociągiem, czy konno, i prosić doktora o wizytę, bo u Phillis wystąpiły nowe objawy, które pan Brown z Hornby uznał za niepokojące. Niejedną godzinę spędziłem na półpiętrze, siedząc na okiennym parapecie tuż obok zegara, nasłuchując w upalnej ciszy domu odgłosów z sypialni Phillis. Pastora widywałem często, lecz rzadko zamienialiśmy ze sobą słowo. Strasznie się postarzał — nie do wiary! Wraz z żoną na zmianę opiekowali się córką, czerpiąc skądś niezbędne do tego siły. Nie dopuszczali do swego dziecka nikogo innego. Każda chwila spędzona przy jej łóżku była dla nich świętością; nawet Betty zaglądała tam bardzo rzadko i tylko wówczas, gdy było to absolutnie konieczne. Raz przez uchylone drzwi dojrzałem Phillis; piękne, złociste włosy miała obcięte, zaś głowę obłożoną mokrymi okładami. Raz po raz ciężkim, nieustannym ruchem unosiła ją i opuszczała na poduszkę. Jej biedne oczęta były zamknięte. Próbowwała jak dawniej zanucić hymn, lecz za każdym razem jej śpiew przerywał jęk bólu. Przy niej siedziała matka; nie płacząc, lecz troskliwie, z cierpliwością, zmieniając okłady. Pastora z początku nie zauważyłem, ale był tam: klęczał w ciemnym kącie z dłońmi złożonymi w żarliwej modlitwie. Po chwili drzwi się zamknęły i nie widziałem już nic. A któregoś dnia wielebny miał gości i musiałem po niego pójść. Brat Robinson wraz z innym pastorem, usłyszawszy o jego „utrapieniu”, przybyli go odwiedzić. Oznajmiłem mu o tym szeptem na półpiętrze. Był dziwnie zaniepokojony.

— Chcą, abym obnażył przed nimi swoją duszę. Nie zrobię tego, Paul. Zostań przy mnie. Ich zamiary są szlachetne, ale duchowego wsparcia w takich chwilach... może udzielić tylko Bóg, tylko sam Bóg.

Tak więc zszedłem razem z nim. Byli to dwaj duchowni z okolicy, obaj starsi od Ebenezera Holmana, lecz niewątpliwie ustępujący mu wykształceniem i pozycją społeczną. Odniosłem wrażenie, iż traktują mnie jak intruza, lecz na prośbę pastora nie odstępowałem go ani na krok. Sięgnąłem po jedną z ksiąg Phillis (z której nie rozumiałem ani słowa) i udawałem, że czytam. Niebawem poproszono mnie, abym „przyłączył się do modlitwy”, więc uklękliśmy wszyscy. Inicjatywę przejął brat

Robinson, przytaczając, jeśli dobrze pamiętam, obszerne fragmenty Księgi Hioba, które wykorzystał jako tekst modlitwy, o ile w ogóle można to było nazwać modlitwą:

— Tyś przecież wielu pouczał, a gdy teraz przyszło na ciebie, tyś słaby, strwożony, gdy ciebie dotknęło.

Kiedy wstaliśmy, pastor klęczał jeszcze kilka minut. Następnie podniósł się i długo na nas patrzył, zanim usiedliśmy do wspólnej rozmowy. Po chwili milczenia odezwał się Robinson:

— Bardzo nam przykro, bracie Holman, z powodu twojej strasznej niedoli. Pamiętaj jednak, że jesteś niczym światło na wzgórzu, a wszyscy wierni czujnie się w ciebie wpatrują. Zastanawialiśmy się po drodze z bratem Hodgsonem, co powinienes w swym trudnym położeniu uczynić. Postanowiliśmy udzielić ci dwóch rad. Po pierwsze, Bóg daje ci sposobność ku temu, abys pogodził się z najgorszym...

Nieszczęsny pastor Holman wyraźnie skrzywił się na te słowa. Pewnie w bardziej pomyślnych okolicznościach nie dałby posłuchu tego typu życzliwym namowom, lecz w tym momencie był bliski załamania, zaś słowo „najgorsze” wróżyło straszliwą rozpacz z powodu nieuchronnej straty dziecka.

Tymczasem pocziwy, głupi Robinson ciągnął dalej: — Wszyscy mówią, że dla twojej córki nie ma już nadziei. Warto tu przywołać postać Abrahama, który z nakazu Boga gotów był poświęcić własnego syna. Bierz z niego przykład, bracie Holman. Rzeknij: dał Pan i zabrał Pan. Niech imię Pańskie będzie błogosławione.

Nastała pełna wyczekiwania cisza. Dałbym głowę, że pastor próbował ulec, lecz nie potrafił. Serce cielesne było zbyt silne, a serca z kamienia nie miał.

— Rzeknę tak mojemu Panu, kiedy On da mi siłę... w swoim czasie — odezwał się wreszcie.

Duchowni popatrzyli po sobie, kręcąc głowami. Najwyraźniej niechęć pastora nie była dla nich zaskoczeniem. Holman tymczasem mówił dalej.

— Przecież są lekarze — powiedział jakby sam do siebie. — Pan obdarzył moje serce wielką nadzieją, dlatego nie chcę jeszcze myśleć o najgorszym. — Następnie, zwracając się ku nim, dodał głośniejszym głosem: —

Bracia, Bóg umocni mnie w trudnych chwilach, gdy już nadejdzie wspomniany przez was czas rozpacz. Póki co jednak nie odczuwam potrzeby pogodzenia się z najgorszym i nie zamierzam powtarzać słów brata Robinsona jak jakiegoś zaklęcia.

Dostrzegłem u niego narastające poirytowanie. Miał ochotę odprawić ich jakąś ciętą ripostą, lecz po krótkiej chwili, podczas której duchowni dalej kręcili głowami, Robinson przemówił ponownie:

— Po drugie, powinienes posłuchać głosu sprawiedliwości i zadać sobie pytanie, za jakie grzechy przyszło ci tak cierpieć. Czy nie za wiele czasu poświęcałeś pracy na roli? Czy mądrość tego świata nie zasiała w tobie skłonności do pychy, zarozumiałstwa i zaniedbań wobec spraw boskich? Czy twoje uwielbienie dla córki nie graniczy z bałwochwalstwem?

— Nie... nie przed wami będę odpowiadał! — wykrzyknął pastor. — Swoje grzechy wyznam tylko Bogu. Lecz choćby były one jak szkarłat, a w oczach Boga właśnie takimi są — dodał skromnie — to powtórzę za Chrystusem, iż cierpienie nie jest karą boską za grzech.

— Czy to zgodne z tradycją, bracie Robinson? — zapytał drugi duchowny tonem pełnym poważania.

Mimo prośby pastora, abym się nie oddalał, uznałem, że sprawy nabierają takiej powagi, iż krótka, miła przerwa w rozmowie przyda się tu bardziej niż moja obecność, dlatego udałem się do kuchni, by zwrócić się o pomoc do Betty.

— A niech ich lichy! — rzuciła. — Zawsze przyłazą nie w porę, a do tego mają taki apetyt, że nie wystarczy im posiłek, który ciebie i wielebno go zdoła nasycić, odkąd nasza nieszczęsna panienka zachorowała. Mam tylko trochę zimnej wołowiny, ale przyszykuję szynkę i jajka; niech się trochę posilą, to przestaną zadreczać wielebno go. Po jedzeniu tyle nie gadają. Jak ostatnio był u nas ten stary Robinson, to strasznie się czepiał naszego wielebno go, choć sam za nic w świecie nie dorównałby mu wiedzą i niepotrzebnie obawiał się takiej pokusy; a używał tak trudnych wyrazów, że niejeden padłby trupem. Ale jak tylko zaniósłszy mu z panią pastorową posiłek, po którym napił się piwa i zapalił fajkę, to zaczął gadać jak normalny człowiek i nawet sypnął przy mnie żartem...

Wizyta duchownych była jedynym blaskiem w tamte długie, ponure dni. Przychodzili też inni: codziennie na farmę Hope zaglądali sąsiedzi, by zagaic kogoś, kto akurat wychodził z domu, o zdrowie Phillis Holman. Uważali jednak, by nie zbliżać się do domu, bo pogoda w sierpniu była upalna, wszystkie drzwi i okna zostawiano otwarte i z zewnątrz słycać było każdy najmniejszy dźwięk. Ciężki to musiał być czas dla domowego ptactwa, które Betty zagoniła do pustej stodoły, gdzie przez kilka dni siedziało zamknięte w ciemności i na nic się zdało pianie i gdakanie. Wreszcie w kryzysowym momencie choroby Phillis przyszedł sen, a po przebudzeniu kuzynka jakby nieco się ożywiła. Spała długo, przez wiele godzin. Baliśmy się wtedy poruszyć czy choćby nabrać tchu; tyle czasu się łudziliśmy, aż w końcu, ogarnięci rozpaczą, nie mieliśmy już siły dopatrywać się oznak zdrowienia: równego oddechu, wilgotnej skóry, lekkiego zaróżowienia bladych, suchych warg.

Pamiętam, jak tamtego wieczoru po zmierzchu wymknąłem się z domu; poszedłem trawiastą ścieżką w cieniu kłaniających się łukiem wiązów aż do mosteczka u podnóża pagórka, gdzie podjazd prowadzący na farmę Hope łączył się z drogą do Hornby. Na balustradzie mosteczka siedział Timothy Cooper — tępak i półgłówek, który pracował u pastora — i wrzucał do strumyka kulki ulepione z zaprawy murarskiej. Kiedy się zbliżyłem, spojrział na mnie bez słowa czy gestu powitania. Na farmie zwykle mi się kłaniał, lecz teraz wydawał się nadąsany, pewnie dlatego, że stracił pracę u pastora. Mimo to poczułem chęć, by zamienić z nim parę słów, i usiadłem tuż obok. Kiedy się namyślałem, jak zacząć rozmowę, Timothy ziewnął ze znużenia.

— Zmęczony? — zagailem.

— Taa — odparł. — Pójdę już chyba do domu.

— Długo tu tak siedzisz?

— Od rana. Jakoś od siódmej.

— To coś ty, u licha, tutaj porabiał?

— Nic.

— Więc po co tu siedzisz?

— Pilnuję, żeby wozy nie jeździły. — Wstał i przeciągnął się, wymachując niezdarnie rękami.

— Wozy? Jakie wozy?

— No, co by panienki nie obudziły! Dzisiaj w Hornby dzień targowy. Z ciebie, zdaje się, też niezły cymbał. — Przechylił głowę, jakby oceniając poziom mojej inteligencji.

— Siedzisz tu od rana i pilnujesz drogi?

— Taa. I tak nie mam nic innego do roboty. Wielebny wyrzucił mnie na bruk. No, a jak tam miewa się dzisiaj panienka?

— Miejmy nadzieję, że się wyśpi i obudzi się silniejsza. Dobrej nocy, Timothy, i niech cię Bóg błogosławi — dodałem.

Puszczając moje słowa mimo uszu, poczłapał do przełazu, który wiódł do jego domu. Wkrótce potem wróciłem na farmę. Przebudzona Phillis wypowiedziała słabym głosem kilka słów. Matka siedziała przy niej, podając jedzenie do jej na wpół omdlałych ust. Wszystkich pozostałych po raz pierwszy od wielu dni wezwano do wieczornej modlitwy. Znamionowało to powrót do dawnej codziennej rutyny, kiedy w domu panowały zdrowie i szczęście, choć i w te ciche dni nasze życie było milczącą modlitwą. Kiedy tego wieczoru zebrawszy się w salonie popatrzyliśmy po sobie, nasze twarze tchnęły wdzięcznością. Klękając, czekaliśmy, aż pastor zacznie. Zaczął inaczej niż zwykle. Nie był w stanie wydusić z siebie słowa; głos wiązał mu w gardle. Po chwili usłyszeliśmy, jak ten silny mężczyzna płacze. Wtedy stary John zwrócił się ku niemu i rzekł:

— Wielebny ojciec, każdy z nas, choć w milczeniu, lecz z całej duszy wychwala Pana; może niepotrzebne są Mu dzisiaj nasze słowa. Niech Bóg ma w opiece nas wszystkich i uchroni naszą Phillis od złego! Amen.

Owa spontaniczna modlitwa starego Johna zakończyła nasze spotkanie tego wieczoru.

Od tej chwili „nasza Phillis”, jak o niej wspomniał John, z każdym dniem miała się coraz lepiej. Nie od razu jednak wydobrzała; niekiedy zamartwiałem się, że już nigdy nie będzie taka jak dawniej, i w pewnym sensie się nie myliłem.

Przy najbliższej okazji opowiedziałem pastorowi o moim przypadkowym spotkaniu z Timothy Cooperem przy mostku tamtego długiego, letniego wieczoru.

— Boże, przebac mi! — wykrzyknął pastor. — W swym zadufaniu uniosłem się dumą. Pierwsze kroki po wyjściu z domu skieruję prosto do chaty Cooperów.

Rzecz jasna, Timothy został ponownie przyjęty na farmę Hope. Nie raz potem podziwiałem cierpliwość, z jaką pastor uczył go wykonywania prostych prac, gdyż obowiązki Timothy'ego dostosowano od tej pory do jego możliwości.

Phillis przeniesiono na parter, gdzie godzinami leżała cichutko na ogromnej sofie pod oknem. Wydawała się niezmiennie spokojna, cicha i oswiała. Jej ciało nabierało sił, lecz dawna żywotność nie powracała. Niekiedy przykro było patrzeć, jak jej rodzice na próżno starali się wprawić ją w ożywienie. Któregoś razu pastor przyniósł jej pęk niebieskich wstążek, przypominając jej czułym uśmiechem ich rozmowę, w której przyznała mu się, że uwielbia kobiece ozdoby. Phillis podziękowała mu, lecz po jego wyjściu odłożyła wstążki i znużona przymknęła powieki. Kiedy indziej matka przyniosła jej pisane po łacinie i włosku książki, które Phillis tak bardzo lubiła przed chorobą — czy raczej przed wyjazdem Holdswortha. Był to najgorszy z pomysłów. Dziewczyna odwróciła się twarzą do ściany i jak tylko jej matka skierowała się do drzwi, rozpłakała się na dobre. Betty nakrywała akurat stół do wczesnego obiadu, a jej bystry wzrok wyłowił całe to zajście.

— Słuchaj no, Phillis! — odezwała się, podchodząc do leżącej na sofie dziewczyny. — Staraliśmy się wszyscy jak najlepiej, lekarze zrobili, co mogli, nawet sam Pan Bóg był ci aż nadto przychylny, a ty nic. Na twoim miejscu ruszyłabym się z tej kanapy i przestała smęcić, bo ojcu i matce serce pęknie, zanim łaskawie raczysz się rozweselić. Nie lubię dużo gadać, ale swoje musiałam powiedzieć.

Parę dni później, kiedy byliśmy sami, Phillis spytała mnie, czy nie mogłaby wyjechać na kilka miesięcy do moich rodziców. Rumieniąc się lekko, wyjąkała łamiącym się głosem, że przyda jej się zmiana otoczenia dla odświeżenia umysłu.

— Tylko na trochę, Paul. A potem... wrócimy do dawnego życia. Wierzę, że nam się uda. Ja na pewno dam radę!

- 1 Z wiersza Williama Wordswortha „Żyła w ustroniu, gdzie ślad ścieżek” (*She Dwelt Among the Untrodden Ways*) w tłum. Stanisława Barańczaka.